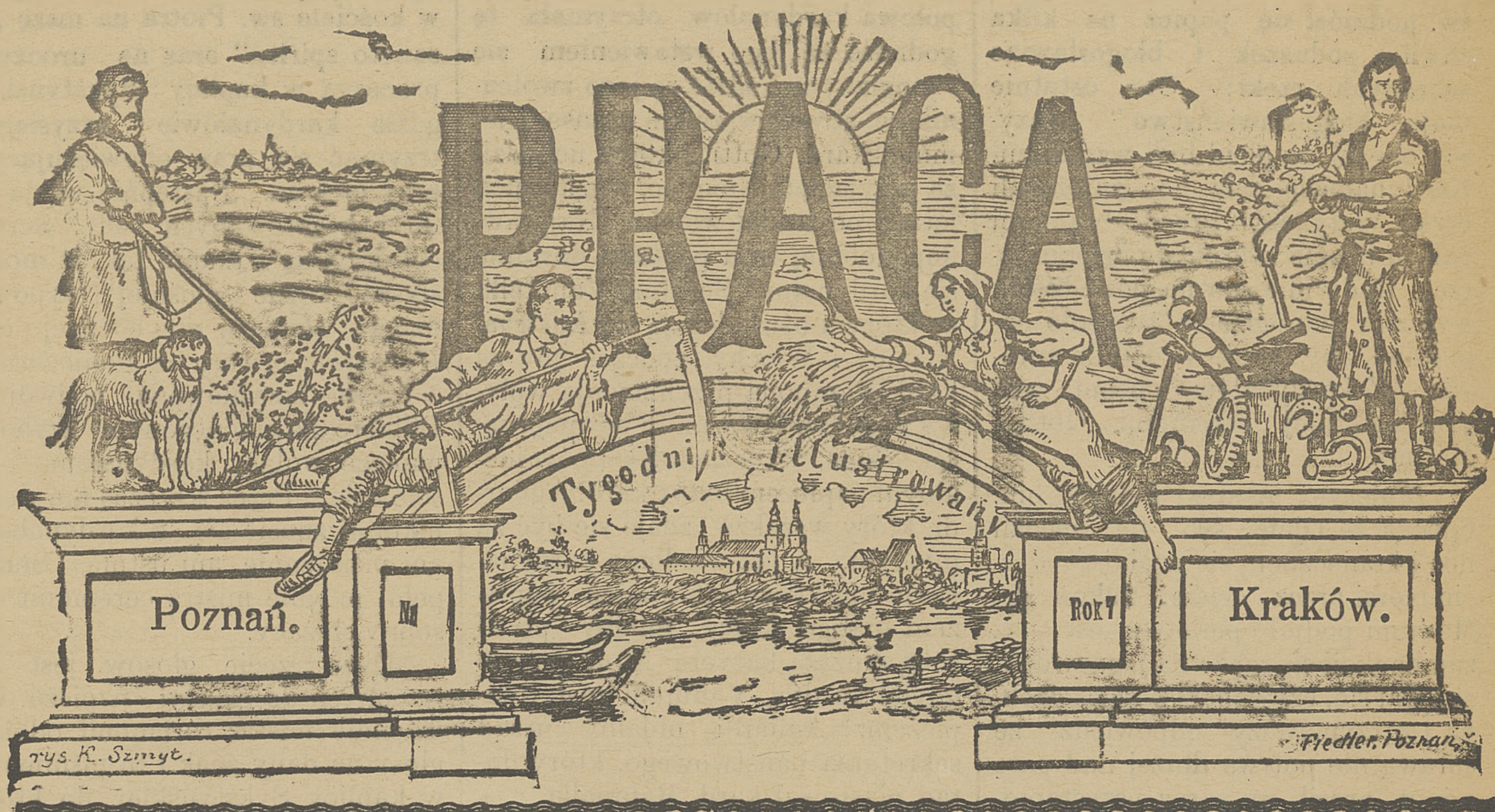
Nr. 28 | Poznań, dnia 12-go lipca 1903. | Rok VII




# Ojciec święty na łożu śmierci.

„Sol moritur, vespro cedens sua regna rubenti.“

Jak grom runęła na nas bolesna wiadomość o ciężkiej niemocy wielkiego papieża.

Niejednokrotnie drut telegraficzny roznosił po świecie wieści o słabości lub niedomaganiu sędziwego Namiestnika Chrystusowego, ale były to przejściowe przypadłości, właściwe starcom, a niezagrażające katastrofą. Teraz jednakże zda się, wybiła ostatnia godzina Ojca świętego, Pan Bóg powołuje do siebie najprzedniejszego pomazańca, i syna Kościoła. Lekarze i otoczenie papieża nie zostawiają nam ani promyka nadziei, że da się wyrwać z rąk śmierci i utrzymać przy życiu dostojnego pacienta; wszyscy zgodnie twierdzą, że zgon Jego jest tylko kwestyą najbliższego czasu.

Trudno pogodzić się z przykrą myślą, że niebawem zniknąć ma z pośród żyjących ta świetlana postać wielkiego starca w tyarze, która królowała nad światem ćwierć wieku. Miliony wiernych zatem błagają o cud, wznoszą gorące modły: pro pontifice infirmo.

„Sol moritur vespro cedens sua regna rubenti“ — „słońce zamiera pozostawiając swą władzę rubinowemu zachodowi“ — wiersz ten, wyjęty z ostatnich dystychów Ojca świętego odpowiada chwili, bo otóż zanika powoli „światło z nieba,“ pozostawiając po sobie cudny rubinowy blask panujący nad ziemią — blask majestatu śmierci, blask swej wielkości i potęgi ducha, która w tych ostatnich momentach papieża przejawia się tak wspaniale.

Sędziwy wiek skruszył ciało lecz nie złamał potężnego ducha. Ojciec św. na łożu śmierci ujawnia taki królewski spokój, taką potęgę umysłu jakby — zanim zgaśnie — chciał raz jeszcze roztoczyć na wzór słońca całą wspaniałość swego ducha, olśnić wiernych, uwiecznić swą postać w sercach.

Dziś, gdy kir smutku powleka dzieci Kościoła katolickiego nie czas rozbierać żywota i zasług wielkiego Leona XIII. z któremi zresztą niejednokrotnie zapoznawaliśmy naszych Czytelników.

Dorzucimy tylko do wiadomości, podanych pod rubryką „Z Tygodnia“ kilka szczegółów o ostatnich chwilach Ojca świętego.

W niedzielę wieczorem nadzwyczajny dodatek do „Osservatore“ Romano“ ogłaszał światu co następuje:

Dzisiaj wieczorem o godzinie $8^3/_4$ spowiednik papieski monsignore Pifferi w otoczeniu 16 kardynałów udał się z kaplicy św. Pawła do pokoju papieża z ostatnimi sakramentami św. Monsignore Bisleti niósł stółę, którą podano choremu podczas komunii św. Przy blasku jarzącego światła odczytał mistrz ceremonii donośnym głosem skład wiary apostolskiej, poczem po modlitwie „Domine non sum dignus“ przyjął Ojciec św. wiatyk. Akt ten nastąpił na własne życzenie dostojnego pacyenta, który o stanie swego zdrowia otrzymał od zaufanego swego ks. Cagiano dokładne informacye. Podczas podniosłego obrzędu odmawiał modlitwy kardynał Vannutelli. Obecni w liczbie 16 w Rzymie kardynałowie przystępowali kolejno do łoża Ojca św., by ucałować jego rękę. Na słowa: „Nasze modlitwy uratują cię,“ odrzekł papież: „Idę do wieczności!“ Ostatnie namaszczenie olejem św. otrzyma Ojciec św., prawdopodobnie w nocy.

Gdy Ojciec św. przy przyjmowaniu komunii św. wymawiał słowa: mea culpa, mea maxima culpa — trzykrotnie wyciągnął ramiona i złożył je następnie na znak poddania się na piersiach. Do każdego z obecnych kardynałów przemówił w końcu kilka słów przyjaznych.

W ciągu dnia następnego zażądał Ojciec św. udzielenia mu ostatniego namaszczenia olejem świętym. Ceremonia nastąpiła wieczorem o wpół do 12. Olejem

**świętym namaścił papieża ks. Pifari w obecności kilku dostojników kościoła i urzędników dworu papieskiego. Po otrzymaniu olejów św. podniósł się papież na kilka chwil z poduszek i błogosławiąc zebranych rzekł: „Oto ostatnie moje błogosławieństwo.“ Wszyscy obecni do głębi byli wzruszeni.** Kardynałowie całą noc zajeżdżali przed Watykan. Przed bramami pałacu licznie zebrali się dziennikarze. Rada miejska na posiedzeniu wyraziła jednogłośnie życzenie papieżowi, aby rychło wrócił do zdrowia. Z kardynałów obecni byli przy ostatniej ceremonii Gotti i Matino.

Biuletyn lekarski z dn. 7. bm. opiewa że Ojciec św. źle spędził noc i koniecznem się wydaje otwarcie piersi przez cięcie. Jakoż dr. Mazzoni podjął operacyę. Papież zaniepokoił się nieco na jego widok, zapytał się, czy chodzi o rzecz drobną i otrzymawszy odpowiedź, że sprawa nie potrwa dłużej nad parę minut, prosił, by zaraz przystąpiono do operacyi, oświadczając, że ma zaufanie do dr. Mazzoniego. Ojca św., który siedział we fotelu, przeniósł kamerdyner Centra na łóżko, lecz chorego nie rozbierano, tylko obnażono piersi. Ojciec św. modlił się cicho. Operacya rozpoczęła się o godz. 1. Nasamprzód prof. Mazzoni w asyście dr. Lapponiego zastrzyknął kokainy, aby tę część piersi znieczulić. Papież pomagał w odsłonięciu piersi i nie wydał ani jednego jęku. Mazzoni oświadczył Papieżowi, że operacya skończona, Ojciec św. wyraziwszy zdziwienie, dodał: Dla czego nic nie czułem, gdy tymczasem dawniej uczułem ból przy zastrzykiwaniu.

Mazzoni oświadczył przedstawicielowi agencyi Stefani, że niebezpieczeństwo wzrasta stale. Ale ponieważ choroba jest nieobliczalną, przeto rzecz możliwa, że Ojciec św. pożyje jeszcze trzy dni. „Giornale d'Italia“ donosi, że wykonana przez prof. Mazzoniego operacya była ostatnią próbą przedłużenia Papieżowi życia, bo wczoraj rano działanie serca osłabło nadzwyczajnie, natomiast stan płuc poprawił się. Przytomność jest zupełna. Papież zna niebezpieczeństwo swego stanu. Blizki koniec jest w każdym razie nieunikniony.....

Niestety....

**Cała prasa europejska gubi się w przypuszczeniach, kto zostanie głową kościoła. Rzeczą pewną jest, że będzie nim kardynał — *Włoch*. Pewien dostojnik kościoła w Rzymie twierdzi, że do niedawna największe widoki miał kardynał *Rampolla*, lecz, aczkolwiek więcej jak połowa kardynałów otrzymała tę godność za jego wstawieniem się i mogłaby uchodzić za jego zwolenników, stracił wszelkie szanse.** Niemniej kard. Gotti, który uchodził za przyjaciela Niemiec, w ostatnich latach postradał widoki. Najprawdopodobniej tron papieski dostanie się kardynałowi Serafino Vanutelli, za którym oświadczają się Austrya, Niemcy i Włochy, podczas gdy za kard. Rampollą przemawiają wpływy Francyi, Hiszpanii i pewnej części Włoch. W oczach Niemców idealnym papieżem byłby kard. Agliardi, który wszakże zdaje się być za młodym. A jak wiadomo kardynałowie nie życzą sobie mieć papieżem nikogo, który miałby przed sobą dłuższą karyerę. Atoli w razie gdyby kardyn. Vanutelli został papieżem, Agliardi objąłby urząd sekretarza państwowego, który dotąd piastował kard. Rampolla.

Leon XIII, jak się zdaje, upatrzył swego następcę w osobie kardynała Sarto z Wenecyi, do którego rzekł po audyencyi: „posiadasz energię i rozum, takiego męża jak Ty Kościół mógłby potrzebować.“

Wszelako jest rzeczą wykluczoną, aby duchowny stojący po za obrębem kardynałów watykańskich otrzymał tyarę. Losy ważą się pomiędzy kardynałami Rampollą a Vanutellim, i o to się rozchodzi czy przeważą wpływy Francyi czy Austryi i Niemiec. Wbrew powyżej przytoczonemu zdaniu przypuszczamy, że conclave obierze kardynała Rampollę, bo mimo antiklerykalną politykę Combesa, Francya jest z natury rzeczy zawsze jeszcze najcenniejszą „córą kościoła“ i na niej opiera się Watykan w polityce światowej. Gdyby kardynałowie uważali Rampollę za niestosownego to zapewne jedynie dlatego, że na niemal wszechwładczem w Watykanie stanowisku sekretarza, zdradził on zbyt wyraźnie swe tendencye i naraził się Niemcom. W tym wypadku niezawodnie tyara przypadła-by mniej znanemu kardynałowi z grupy przyjaznej Francyi.

**Z naszego punktu widzenia życzyć sobie należy, aby przyszły Ojciec św. był takim dyplomatą jak Leon XIII a posiadał serce Piusa IX.**

**Obór Papieża odbywa się przez kolegium kardynałów na t. z. conclave t. j. w zamknięciu, w którem kardynałowie pozostają aż do elekcyi następcy. W dziesięć dni po zgonie papieża zbiera się kolegium w kościele św. Piotra na mszę „de sancto spiritu“ oraz na uroczystą procesyą w kaplicy Sykstyńskiej, gdzie kardynałowie przysięgają trzymać się praw obowięzujących** przy elekcyi. Następnie udają się do przygotowanych celi. Ściany celi tych są z tkanin tak, iż można słyszeć każde głośniej wypowiedziane słowo w przybocznej celi. *Wszystkie otwory są zamurowane*, a drzwi zaryglowane podwójnie. Dopiero po ukończonym wyborze papieża wolno kardynałom opuścić cele. Przez ten czas nie wolno nikomu znosić się z kardynałami, ani piśmiennie, ani ustnie. Służbę pełni jedynie mistrz ceremonii i osobny służący.

Dwie trzecie głosów jest potrzebnych do elekcyi papieża. Codziennie mistrz ceremonii odbiera głosy na dany znak i to piśmiennie w kaplicy Sykstyńskiej, do której kardynałowie udają się z swych celi o siódmej z rana.

Być może, że Ojciec św. pozostawił przepisy dotyczące „conclave,“ które dopiero po Jego skonie będą znane. Jeżli nie, conclave odbędzie się według wyżej opisanego przepisu, ustanowionego na concilium w Lyonie w roku 1274. W tym wypadku mistrz ceremonii kard. Oreglia będzie odbierał głosy, z pomocą monsignora Passavini'ego.

*Q.*

## Zawczasu.

Praca agitacyjna święciła tryumfy przy ubiegłych wyborach. Jej przedewszystkiem zawdzięczamy znaczny przyrost głosów polskich, oraz zwycięstwa w Szamotulskiem, Wyrzyskiem, w Katowicach i Toruniu. Wszędzie gdzie urządzano liczne wiece, gdzie rozselano druki i agitatorów — wyrastały nowe głosy polskie jak grzyby po deszczu. Wyniki działalności agitacyjnej były tak bijące w oczy, tak niemal zdumiewające, że ogół nasz winien zwrócić na to baczną uwagę i wynieść z niej lekcyę na przyszłość.

O ile świetniejsze bylibyśmy osiągnęli rezultaty, gdyby agitacya nasza *wszędzie* była tak prawidłową, systematyczną i energiczną jak u socyalistów, centrowców lub konserwatystów! Bo chociaż stwierdziliśmy z radością, że agitacya wyborcza u nas toczyła się

w żywszem tempie i ogarniała szersze koła ludności niż dawniej, daleko nam jeszcze do tego, abyśmy dorównali pod tym względem partyom niemieckim.

Wskutek pustek w kasie wyborczej nie zdobyliśmy się w Poznaniu na wydatek 200 marek, by zaopatrzyć się w listę wyborców polskich, z pomocą której mężowie zaufania mogliby dokładnie kontrolować, czy każdy z naszych wyborców pełni swój obowiązek i staje do urny wyborczej. Partye zaś niemieckie składkują hojnie na cele wyborcze. Ogromne sumy wpływają do kasy wyborczej socyalistów, wiele stronnictw zbiera fundusze w ciągu *całej* kadencyi parlamentarnej a nie dopiero wówczas, gdy wybory za pasem. Tymczasem u nas po wyborach ogół zajmuje się wszystkiem innem, ale nie sprawami wyborczemi, które idą w kąt na kilka lat. Dlatego też niejednemu z czytelników będzie się może wydawało, że poruszamy kwestyę *nie na czasie.*

Sprawy wyborcze stawały się u nas dotąd kwestyą na czasie dopiero kilka miesięcy przed wyborami, a w ciągu lat czterech przypominaliśmy owego jegomościa z humorystycznego pisma, który obrany posłem wyciąga się leniwie na trawie, mówiąc: no, teraz mogę wypoczywać przez lat pięć...

Nie! Właśnie teraz, gdy wszyscy mamy świeżo w pamięci przebieg i szczegóły wyborów, należy, naszem zdaniem, przeprowadzić obrachunek z samym sobą, zastanowić się czy wszystko zrobiliśmy jak należało i *zawczasu* zabrać się do naprawy błędów.

Agitacya socyalistów pochłania takie sumy, że według ich obliczenia każdy głos na socyalistę oddany kosztuje w przecięciu 4 marki. Konserwatyści nakładają na siebie podatek na cele wyborcze i tak w wielu powiatach mieli do swej dyspozycyi sumy 50 tysięcy marek a nawet i więcej. Z pomocą takich funduszów rekrutują całą armię agitatorów, rozrzucają tysiące różnych druków i gazet i walczą o mandat do upadłego. Jakże nam do tego daleko!

Przywykli do ociężałości polskiej i zamiłowania do wygody, z podziwem patrzeliśmy na tych niewielu naszych kandydatów, którzy trawili dnie na peregrynacyi po swym okręgu, na wiecach i na dorywczych zebraniach przedstawiali się wyborcom i pracowali z zapałem nad zdobyciem głosów polskich i mandatów. A tak być *powinno w każdym* okręgu, mianowicie zaś w okręgach uznanych za *stracone.* Bo nie tyle chodzi nam przecież o jeden mandat więcej, ile o jaknajwiększą ilość polskich głosów. A ponieważ w okresie wyborczym agitacya przynajmniej w Księstwie nie napotyka ze strony władz na takie przeszkody ni trudności jak zwykle, jest *naszym obowiązkiem narodowym* skorzystać z tego i budzić świadomość obywatelską i ducha polskiego w każdym zakątku a głównie na zachodnich kresach Wielkopolski, na Warmii, na Mazowszu i wszędzie gdzie własność ziemska w ręku Niemców, gdzie lud polski najwięcej jest wystawionym na niebezpieczeństwo germanizacyi. Zdrowy rozsądek polityczny i miłość Ojczyzny stanowczo nakazuje nam przygotować się zawczasu do wyborów tak, abyśmy wszystkim Polakom mogli nieść słowo polskie i wszędzie krzewić poczucie narodowe.

Zresztą z wyborów mogliśmy byli wynieść naukę, że jeśli my nie będziemy agitować, to opieszałość naszą wyzyskają socyaliści lub centrowcy. Agitacya przeto jaknajwiększa jest nietylko *obowiązkiem* ale wprost *koniecznością.*

O tem powinny pamiętać wszystkie komitety wyborcze i pomyśleć na seryo i jaknajprędzej o zbieraniu funduszów na cele wyborcze, by nie powtórzył się fakt, że w kasie wyborczej powiatowej znalazło się w przededniu wyborów — *5 mrk. 75 fen.*, lub — dług, by zadosyć uczynić wszystkim potrzebom i złożyć do kasy komitetu prowincyonalnego znaczniejszą kwotę na agitacyę. Komitety prowincyonalne powinny zająć się tą sprawą po żniwach, z okazyi wyborów do sejmu i polecić mężom zaufania, aby w ten lub ów sposób zbierali fundusze na ten cel i w miarę jak napływają pieniądze odsełali je skarbnikowi, który registrował-by i kontrolował ich czynności.

Naonczas powołalibyśmy do życia *organizacyą agitacyjną,* zeszeregowali zastęp ludzi dobrej woli, wysełali we właściwym czasie agitatorów urządzających zebrania parafialne oraz mówców. Na czele takiej organizacyi proponowalibyśmy stawić *hr. Macieja Mielżyńskiego,* który zdobył ostrogi jako znakomity, niestrudzony agitator, dzięki nabytemu doświadczeniu mógłby służyć praktycznemi wskazówkami, a przykładem swym pociągać innych do *tak wdzięcznej, tak koniecznej, tak obywatelskiej pracy nad uświadomieniem ludu.*

My, Polacy, powinniśmy nietylko dorównywać innym jako agitatorzy lecz prześcignąć wszystkich, bo pod każdym względem musimy być dzielniejsi od naszych wrogów, jeźli z tych ogromnych zapasów z niemczyzną mamy wynieść palmę zwycięztwa.

[illegible], że zagrażają nam socyaliści i centrowcy, że nieustannie cała machina państwowa i hufce krzyżackie hakatystów pozbawiają nas członków rodziny polskiej, musimy jak najwcześniej i jaknajlepiej przygotować się na ten czas, gdy swobodnie będziemy mogli oddać się — pracy nad ludem. Nie spuszczajmy więc tej sprawy z oka; lecz zakrzątajmy się około niej zawczasu!

*Quis.*



## Akademia niemiecka w Poznaniu.

Szydzą dziś Niemcy z przeszłości Polski, starają się wmówić w siebie i w innych, że ta przeszłość nasza była barbarzyńską niemal, że w dawnej Polsce dwie tylko rzeczy panowały wszechwładnie, *nierząd i ciemnota.* Jest to fałsz, kłamstwo i oszczerstwo, wstrętne dla każdego uczciwego człowieka, lecz dla nich potrzebne. Tylko bowiem takiemi twierdzeniami kłamliwemi, takiem zohydzaniem przeszłości naszej mogą pozornie uzasadnić niemniej bezpodstawne swe twierdzenie, że zagarniając część ojczyzny naszej, mianowicie nasz gród Przemysława, wyświadczyli nam dobrodziejstwo, gdyż wprowadzili do nas ład, wiedzę, światło.

W rzeczywistości rzecz miała się przeciwnie. Złoty okres narodowego piśmiennictwa naszego przypada na czasy, w których w Niemczech literatura rodzima dopiero z powijaków niemowlęcych wyłaniać się zaczęła. Poznań zaś posiadał już przed wiekami to, co dziś dopiero Niemcy utworzyć się tu starają: *akademią.*

Niech nam wogóle nie bredzą o wniesieniu do nas światła wiedzy i nauki! Od przeszło pół wieku posłowie nasi oraz inni wybitni mężowie, jak Cieszkowski, Libelt, Raczyński, Kantak, Wierzbiński, nie licząc młodszych, dopominali się o założenie w Poznaniu wszechnicy czyli uniwersytetu, a zawsze daremnie. Polacy łaknęli więc wiedzy i nauki, pragnęli we własnych dzielnicach mieć jej źródło i ognisko, a właśnie rząd pruski przeszkadzał temu i pozostał głuchym na wszelkie wołania. Brał rekruta, haracz z krwi i mienia, bo aż nadto wielkie podatki, lecz wszechnicy Poznaniowi dać nie chciał. Ze wszystkich prowincyi, wchodzących w skład monarchii pruskiej, jedynie poznańska i zachodnio-pruska nie mają własnej takiej instytucyi naukowej. A nie mają jej dlatego, ponieważ rząd pruski nie chciał ułatwić, lecz przeciwnie *utrudnić* pragnął młodzieży polskiej zdobywanie wiedzy. Zmuszał ją i zmusza po dziś dzień do szukania jej u źródeł niemieckich w głębi „Vaterlandu,“ co z powodu kosz-

tów znacznych dla wielu zdolnych polskich młodzieńców jest niedostępne, niemożliwe.

Nawet gdy Niemcy, osiadli u nas zdawna wołali o wszechnicę w Poznaniu, odpowiadano z Berlina: Nie może to być, bo taka wszechnica wyszłaby na dobre polskości, uzbroiłaby bardziej jeszcze Polaków do walki, a raczej do oporu przeciwko germanizacyi. Niemcy w Poznańskiem uczuwali dotkliwie wielki ten brak kulturalny, lecz i to nie zdołało zmiękczyć np. niechęci kół miarodajnych w Berlinie; wolały one, aby i Niemcy tutejsi cierpieli, niż żeby nowe źródło wiedzy miało wyjść na korzyść Polakom. Tak to rząd pruski dbał o wiedzę i naukę w zaborze swoim....

Tymczasem powstała hakata, a rozejrzawszy się po kraju, z trwogą zauważyła, że brak wyższego ogniska naukowego wypędza dużo Niemców od nas do innych dzielnic pruskich i przez to osłabia zakusy germanizacyjne. Dopiero też pod naciskiem hakaty, a więc nowej racyi *politycznej* zdecydowano się dać Poznaniowi to, czego się od dawna domagał.

Lecz i teraz jeszcze zamierza się dać mu tylko *część zamiast całości*. Zamiast zupełnego uniwersytetu ma otrzymać jedynie pewien rodzaj — akademii popularnej, *przykrojonej głównie dla Niemców*. Na naradzie, jaka odbyła się w Poznaniu mniejwięcej przed tygodniem pod przewodnictwem nowego naczelnego prezesa *Waldowa*, uchwalono następujący plan dla tego instytutu naukowego: Nowa akademia ma obejmować 1) kursy ćwiczeń dla fachowej nauki uzupełniającej; 2) prelekcye naukowo uzupełniające; 3) wykłady ogólno naukowo-kształcące, i 4) kursa uniwersytecko-popularne. Te ostatnie z dziedziny filozofii, *niemieckiej* literatury, *francuzkiej* i *angielskiej* filologii, historyi, geografii, ekonomii politycznej, nauk przyrodzonych i sztuki. Akademia otrzyma rektora i dwóch stałych profesorów. Obok nich miewać będą wykłady miejscowi „uczeni" niemieccy, profesorowie gimnazyów oraz innych szkół miejscowych „w urzędzie pobocznym." Prawdopodobnie też — jak piszą gazety niemieckie — a więc jeszcze nie na pewno — odbywać się w niej będą wykłady z dziedziny medycyny i prawa.

Ponieważ pomysł uszczęśliwienia stolicy dzielnic polskich taką instytucyą narodową wyszedł od *hakaty*, ponieważ powstanie ona wyłącznie pod auspicyami *hakaty*, z góry przypuszczać można, *że ma ona wyłącznie służyć niemczyźnie*. Dotychczas nie powiedziano wprawdzie otwarcie, że Polacy będą *wykluczeni* od korzystania z tej akademii, chociażby atoli nawet nie uczyniono tego, to zapewne nada się wykładom *taką cechę, treść i dążność, że same odstręczać będą ewentualnych słuchaczy polskich*.

Przemawia za tem zresztą wybór kierownika „akademii" oraz to, co piszą o nim gazety niemieckie. Kierownikiem tym zamianował rząd profesora *Kühnemanna*, nadzwyczajnego docenta przy uniwersytecie w Marburgu. Ma to być głęboki znawca literatury niemieckiej, interpretator Schillera, Herdera oraz innych pisarzy niemieckich, znakomity mówca i gorliwy agitator patryotyczno niemiecki. Ponieważ zaś jest jeszcze młodym, liczy dopiero trzydzieści kilka lat, więc pisma niemieckie spodziewają się po nim, że *„z zapałem* poświęci się zadaniom kultywowania u nas ducha niemieckiego."

To wystarcza dla ucharakteryzowania nowej instytucyi naukowej. Będzie ona *na wskroś tendencyjna, jednostronnie niemiecką, bardzo hakatystyczna, wręcz wroga dla Polaków*, Gdyby taką być nie miała, nie dano by jej Poznaniowi.

*Uniwersytetu na razie nie zastąpi.* Nie będzie udzielała całokształtu fachowo-naukowej wiedzy, ani dyplomów, ani uprawnień do zawodów naukowych. Ma tylko *dalej kształcić* inteligencyą niemiecką u nas, uzupełniać jej wiedzę i naukę, zbroić ją w nowe środki duchowe do walki — *przeciwko nam*, — budzić w niej zapał i przywiązanie do skarbów literatury i nauki niemieckiej, pogłębiać poczucie narodowe.

.. *Oto nowe — „dobrodziejstwo" pruskie!* Księstwo posiada w $^2/_3$ ludność polską, ludność ta płaci wysokie podatki i spełnia wszelkie swoje obowiązki względem państwa. Ministrowie pruscy i hakatyści w ciałach prawodawczych, naukowych i w prasie wylewają łzy gorzkie nad rzekomem naszem dawnem zaniedbaniem duchowem, każą nam być wdzięcznymi za pruskie dobrodziejstwa kulturalne. *Słuszną* więc i *jedynie* sprawiedliwą a *przedewszystkiem jedynie logiczną* byłoby rzeczą, gdyby dano nam *zupełny uniwersytet do* zdobywania sobie stopni naukowych i *gdyby w tym uniwersytecie uwzględniono nasze, polskie zdobycze ducha, nasze potrzeby, nasze właściwości: polski język, polską historyą i literaturę*. Tylko w takim razie byłby nowy uniwersytet — wprawdzie jeszcze nie *dobrodziejstwem* dla ludności polskiej, bo dobrodziejstwem nie może być to, co nakazuje dać prosty obowiązek — *lecz przynajmniej jakim takim wymiarem sprawiedliwości*.

Ale o tem mowy niema! Za naszą krwawe pieniądze dostaną akademią tylko Niemcy, a co nadto — nowa ta akademia ma mieć z góry charakter antipolski.

Wymowna to ilustracya do frazesów ministeryalnych o *dobrodziejstwach pruskich*...

My jednak — jeżeli nas z góry nie wykluczą od udziału w tej akademii, także *korzystać z niej będziemy* na przekór hakacie, a chociażby tylko w tym celu, aby przekonać się, jak się w niej fałszować będzie dzieje i wiedzą na naszą niekorzyść. Późniejsze zaś pokolenia dziwić się będą, temu *dziwolągowi naukowemu*, będą się dziwić niesprawiedliwości takiej, która milionom obywateli odmawia prawdziwej nauki a nawet z niej robi jakiś *środek polityczno-bojowy do ich zwalczania*. Lecz może tymczasem systemy pruskie tak się jeszcze zapiszą w dziejach, iż przyszłe pokolenia i dla tego pomysłu niemieckiego *bez zdziwienia jedno tylko znajdą miano: naukowe-barbarzyństwo!*

*Czujny.*



# Nasze braki i niedomagania.

I.

Wracam właśnie z dalekiej podróży na południe — w której zwiedzałem rozmaite większe i mniejsze miasta obce i bawiłem dłużej w pewnej znanej dziś ogólnie miejscowości kąpielowej nad Adryatykiem. Gdym się wybierał w tę podróż, doszła mnie wieść, że w pewnem mieście prowincyonalnem Księstwa grozi upadek wielkiemu spółkowemu przedsiębiorstwu hotelowemu założonemu nakładem kilku set tysięcy grosza polskiego, że upadek grozi mu w niemałej części z tej przyczyny, iż nie zdołano znaleść przedsiębiorcy polskiego, którýby hotel ten umiał prowadzić jako dzierżawca z korzyścią zarówno dla siebie jak i dla Spółki i społeczeństwa. Nie pierwsza to taka sprawa smutna w naszej dzielnicy. I w Poznaniu już walczono ciężko z takiemi przeciwnościami a raczej — brakami. Zwykłym już zbiegiem okoliczności uwikłano mnie przed wyjazdem także w dłuższą dysputę na temat hotelów, gospód i — *„kelnerów"* wogóle, która zakończyła się przykrą konkluzyą, iż niestety mało tylko mamy u nas dobrych hotelistów, a jeszcze mniej dobrej służby hotelowej i restauracyjnej, o czem Poznań mógłby dużo powiedzieć.

Pod wrażeniem tej wieści i tej dysputy postanowiłem tedy w mej podróży śledzić bacznie i z szczególną uwagą właśnie za kwestyą hotelową

ospodzka, aby po powrocie podzielić się z ziomkami poczynionemi spostrzeżeniami.

I przekonałem się niestety, że w tej dziedzinie zarobkowej w porównaniu z Niemcami bardzo jeszcze szwankujemy. Doścignęliśmy ich już w wielu innych, w tej atoli ani w przybliżeniu równać się z nimi nie możemy. A przecież to dziedzina bardzo ważna! Daje ona gdzieindziej znaczny zarobek tysiącom rąk pracowitych, staje się ważną gałęzią gospodarstwa społeczno narodowego ogółowi zaś uprzyjemnia ruch i życie.

Wszędzie niemal, gdzie wstępowałem hotele i restauracye oraz kawiarnie cieszą się opinią *rentownych* przedsiębiorstw. U nas niestety tej opinii nie posiadają. Nie mówię już o hotelach, restauracyach i kawiarniach w Niemczech i niemieckiej części Austryi, bo tu może sprzyjają im wyjątkowo pomyślniejsze warunki i okoliczności. To samo atoli powiadano mi i po za granicami niemieckiego „Faterlandu" A i tam wskazywano mi jako najrentowniejsze właśnie te, które znajdują się w *rękach niemieckich.*

Gdzież *takich* zaś niema? Nie braknie nawet ich w Paryżu, pełno ich we Włoszech, znajdziemy je na wschodzie, w Turcyi, Lewancie, w Egipcie, w Azyi i w Ameryce. A wszędzie właśnie te *niemieckie* najlepszą posiadają reputacyą. Publiczność chętnie w nich przebywa, bo dają porządek i dobrą obsługę — przy umiarkowanej cenie. Zdawać by się poniekąd mogło, że właśnie Niemcy specyalnie są uzdolnieni do tego zawodu.

Lecz trudno, darmo; musimy ich naśladować, ubiegać się z nimi o lepsze. Właśnie przez hotele, restauracye i kawiarnie płynie i u nas jeszcze dużo polskiego grosza w ręce niemieckie. Co więcej! Braknie nam już w wielu miastach sal i obszerniejszych polskich lokali do zabaw, festynów, zebrań. Jeźli tedy rychło nie wytworzymy u nas silnego i zdrowego stanu gospodzkiego — stracimy dużo i długo jeszcze będziemy zależni od Niemców — nawet w niektórych wypadkach *politycznych*, jak to się np. teraz dzieje na Śląsku, gdzie nie mogą się odbywać polskie zebrania wyborcze, ponieważ niemieccy hoteliści i restauratorzy nie chcą udzielić na ten cel sal swoich.

Być może, że Niemcy są do zawodu tego bardziej uzdolnieni, niż Polacy. **To atoli nie jest wyłączna lub chociażby tylko główna przyczyna ich przewagi w tej dziedzinie. To mieści się w czemś innem zupełnie, a mianowicie** ***w należytem przygotowaniu się do tego zawodu.***

Ogromna większość właścicieli hotelów niemieckich w Niemczech i za granicą wychodzi ze stanu a raczej zawodu *„kelnerów"*. Tak zwani „oberkelnerzy" restauracyjni, kawiarniani lub hotelowi po pewnym czasie sami nabierają przedsiębiorstwa takie na własność lub zakładają nowe na własną rękę. A i „kelnerską" *praktykę* przyswajają sobie systematycznie, zupełnie *zawodowo.* U nas zaś dotychczas ani „kelnerstwa" ani „gospodztwa" nie traktuje się *zawodowo.* Chwytają się tych zajęć i gałęzi zarobkowania przy hotelach, restauracyach lub kawiarniach ludzie *najrozmaitszych* zawodów, nieraz jako ostatniej deski ratunku — w kelnerstwie zaś przeważnie jednostki *wykolejone* z zawodów przemysłowych lub z pośród robotników. Zarówno jedni, jak i drudzy traktują to zajęcie swoje jedynie jako *przejściowe, dorywcze, jako źródło łatwego zarobku lub dogodny sposób wyzysku publiczności.* Są naturalnie i u nas *wyjątki* — ale niestety nie dość liczne. Niemiec zaś poświęca się zawodowi „kelnerskiemu" od wczesnej młodości, odbywa praktykę jako *„piccolo"* — zupełnie tak samo, jak w każdym innym zawodzie, później przechodzi wszelkie inne szczeble zawodowe, aż wreszcie kończy jako tak zw. „ober" lub właściciel gospodzkiego przedsiębiorstwa. W ten sposób poznaje wszelkie arkana tego bynajmniej nie łatwego zajęcia, poznaje publiczność, jej gusta, nawyknienia i *potrzeby* — umie się do nich zastosować i w ten sposób zapewni sobie powodzenie.

Przyznajemy, że zawód „kelnerski" nie należy do bardzo ponętnych. Do osobistych posług dla obcych i brania *„napiwków"* nie każdy się nadaje, ma to *napozór* nawet coś *upokarzającego* w sobie. Mówimy atoli wyraźnie *napozór*, bo w rzeczywistości tak nie jest. Zależy to wszystko zarówno od *„kelnerów"*, jak i od *publiczności.* W Niemczech *„kelner"* bynajmniej nie jest osobistością pogardzoną; nikt tam nie odezwie się do niego przez „ty", nikt go nie przepłaci napiwkami, ale nikt też rozmyślnie nie zgotuje mu upokorzenia. A u nas co się dzieje? W zaborze pruskim jeszcze nie najgorzej pod tym względem, ale w Galicyi i w Królestwie! Pogardliwe „ty", wymyślania od osłów, durniów na porządku dziennym, nieraz i zniewagi *czynu*, które potem opłaca się rublami i guldenami. Czyż z *takich ludzi mogą wyrość pożyteczni na niwie gospodarstwa społecznego, czyż wobec takiego traktowania porządny człowiek może poświęcić takiemu zawodowi?* Przenigdy! W takich warunkach możemy mieć tylko nędznych *fagasów*, którzy dla hojnego napiwku każdego obdarzą tytułem „jaśnie pana", pozwolą się nawet w twarz uderzyć, aby przy nadarzającej się sposobności obedrzeć gościa podwójnie, a lekceważąco traktować mniej hojnie szafujących napiwkami. A potem? Zarobek w ten upokorzający sposób nabyty idzie na marne, na hulanki, na karty, my zaś skarzymy się na brak — *zawodowych restauratorów i hotelistów!!*

Jeźli więc pragniemy ich pozyskać — nauczmy się inaczej patrzeć na ten zawód. Uwolnijmy go od poniżenia, w jakiem pozostaje, starajmy się o to, ażeby zajęcie kelnerskie stało się u nas tak samo *zawodem*, jak wszelkie inne.

Jeszcze jedno! Wszędzie za granicą napotkać można „kelnerów" niemieckich nawet w hotelach — których właściciele nie są Niemcami. Można by nawet twierdzić, że obok kolonisty i kupca niemieckiego „kelner" niemiecki jest jednym *z najgorliwszych pionierów niemczyzny po świecie.* Wnosi on ją wszędzie, gdzie przebywa, a jako *obywatel* — nie zapomina, że jest Niemcem. W miejscowości kąpielowej, w której bawiłem — położonej na *słowiańsko-włoskiej ziemi* — istnieje *szkółka* niemiecka jako rozsadnik *niemieckiej* kultury. Szkółka ta zawdzięcza byt swój w niemałej części *kelnerom niemieckim.* Jest ich tam dużo, tworzą stowarzyszenie i bawią się przyzwoicie, *a zysk z tych zabaw poświęcają na szkółkę.* W liście kuracyjnej tej miejscowości czytałem pokwitowania za sumy dochodzące do *kilkuset marek od razu* — otrzymane przez zarząd szkoły z zabaw *niemieckich* kelnerów...

Polskich nigdzie nie napotkałem. Niema ich za granicą, mało dobrych i porządnych mamy w kraju. A potem się dziwimy, że upadają polskie hotele spółkowe, restauracye i kawiarnie. Pomyślmy o naprawie!

*J. K. M.*



# Z TYGODNIA.

Dzisiejszy nasz przegląd „z tygodnia" rozpoczynamy pod znakiem ciężkiej i bolesnej żałoby, jaka zawisła nad światem katolickim. Życzenia tych wrogów Kościoła, którzy nie mogli się doczekać zgonu Leona XIII. i kłamliwie tyle razy rozgłaszali go po świecie, niestety, spełnią się może za chwilę naprawdę. Niespodziewana ciężka niemoc powaliła nagle na łoże boleści Tego, którego ciało zdawało się tak samo **niespożytem jak mieszkający**

w niem duch olbrzymi. Jeszcze przed tygodniem, na ostatnim konsystorzu, na którym nastąpiła prekonizacya kilku nowych kardynałów, Ojciec św. zadziwiał wszystkich czerstwością zdrowia i sprężystością umysłu. W ubiegły czwartek tymczasem, a raczej w nocy z czwartku na piątek uczuł się słabym, tak że spać nie mógł, jak zwykle. Wstawszy z tego powodu rychlej, kazał się sprowadzić na dziedziniec, zkąd zwykle odbywał powozem ranne przejażdżki po ogrodach Watykanu. Było dopiero trzy kwadranse na 8-mą, powóz zaś zamówiony był na 8-mą. Ojciec św. nie chciał czekać na powóz, wspierając się na lasce odbył przechadzkę pieszo. Snać jednakże przecenił swoje siły. Zmęczył się chodząc i spocił, ponieważ zaś w dniu tym wiał wiatr chłodniejszy, wynikło z tego zaziębienie. Mimo to, mimo wielkiego znużenia, udał się jeszcze do katedry św. Piotra, aby pobłogosławić przybyłą z hołdem pielgrzymkę węgierską. Burzliwe okrzyki Węgrów spotęgowały jeszcze ogólne osłabienie jego nerwów. Wróciwszy do swoich komnat Papież zemdlał. Przywołany natychmiast lekarz przyboczny dr. *Lapponi*, nie przeczuwając jeszcze nic złego, zalecił choremu spokój i kilkodniową przerwę w czynnościach urzędowych w przyjmowaniu pielgrzymek i udzielaniu audyencyi. Nazajutrz atoli pokazały się pierwsze oznaki starczego zapalenia płuc. Dr. Lapponi poprosił do pomocy znakomitego profesora *Mazzoniego*, który również już kilkakrotnie leczył Leona XIII. i dobrze zna jego organizm. Z nim razem wytężył wszelkie siły i sposoby sztuki lekarskiej, aby pokonać chorobę. Czyniono, co tylko było możliwe — lecz jak się zdaje — napróżno.

W chwili gdy to piszemy zdumiewająco silny ustrój fizyczny Papieża jeszcze się opiera niebezpiecznej chorobie, podobno nawet stan chorego nieco się polepszył. Lecz nadzieja, iżby i tym razem wyszedł zwycięzko z walki, jest bardzo mała. Zapalenie płuc w tym wieku — to śmierć niemal niechybna i tylko cud mógłby jeszcze ocalić ten tak drogi sercom katolickim żywot.

Zrozumiało to dobrze otoczenie Ojca św. — więc kardynał wikaryusz zarządził natychmiast we wszystkich kościołach modły „za chorego Papieża.“ Nie tajono tego także przed Nim samym. Sędziwy Namiestnik Chrystusowy przyjął wieść o groźnym swym stanie z całym owym apostolskim spokojem, jaki cechował go przez całe życie. Przedewszystkiem zażądał ostatnich Sakramentów św., których udzielono mu też z wielką uroczystością w obecności 16-tu kardynałów. Potem — z całą przytomnością, uśmiechnięty, niemal wesół zaczął wydawać ostatnie polecenia i rozporządzenia, pocieszać swoje otoczenie. Do dr. Lapponiego rzekł: „Cóż wielkiego — mój doktorze — że „stary Pecci“ umrze? Papieztwo jest wieczne i nieśmiertelne, pocóż się więc smucicie?“ Wobec dr. Mazzoniego, który nie chciał Mu powiedzieć, kiedy zgon może nastąpić, Papież odezwał się żartobliwie: „wy lekarze nie jesteście prorokami, doświadczyłem tego na własnej osobie.“ Potem zaś dodał poważnie: „Czuję już spokój śmierci cielesnej i szczęście przyszłego życia. Módlcie się za mnie.“

Zdaje się wogóle, że Leon XIII. przeczuwał swój koniec. Już bowiem na kilka dni przed owym dniem feralnym, w którym się zaziębił, powiedział do wicehrabiego Pequeiro na audyencyi: „Jestem stanowczo chory i sądzę, że nie tylko dni moje, ale i godziny już policzone.“

To podniosłe poddanie się woli Bożej i nieuniknionej konieczności, ta pogoda ducha — aureolą świętości otacza tego starca w potrójnej koronie, który tyle zdziałał dla Kościoła katolickiego!

Właśnie atoli w tej bolesnej, pełnej niepokoju dla wszystkich katolików chwili objawiła się w całej pełni znów potęga Papiestwa. Zaledwie wieść o chorobie Leona XIII rozbiegła się po świecie — w mgnieniu oka zaalarmowała całą opinią, całą prasę, nawet tę, która z duszy serca nienawidzi Kościoła katolickiego a papiestwo uważa za instytucyą niemal już przeżytą. Ta część opinii i prasy jeszcze wobec łoża boleści chorego Namiestnika Chrystusowego zaczęła już roztrząsać pytanie, kto będzie jego następcą. Pragnęłaby ona przeniknąć zasłonę przyszłości i już dziś się dowiedzieć, czy ten następca będzie równie potężnym obrońcą Kościoła, czy też łatwiejsza z nim będzie sprawa. Na razie atoli trudno przewidzieć, na kogo ewentualnie padnie wybór św. kolegium. Ci którzy uchodzili za tak zw. „papobili“ czyli za domniemanych następców Leona XIII. prawie wszyscy już wymarli. Z młodszych nie wyróżnia się jeszcze żaden w tej mierze, iżby wskazać można na niego i powiedzieć: „Oto ten!“ Wrogowie Kościoła muszą więc jeszcze uzbroić się w cierpliwość, aby potem się dowiedzieć, że na zmianie na tronie papieskim nic nie zyskali......

Podobne gorączkowe oczekiwanie ogarnęło także rządy wielu państw. Telegraf pracuje bezustannie, roznosząc na wszystkie strony wieści z Watykanu.

I rzecz dziwna, wobec choroby „Więźnia z Watykanu“ zeszły na plan drugi wszelkie inne sprawy polityczne. Ostygło już zainteresowanie do podróży prezydenta *Francyi Loubeta do Anglii*, podróży, która ma utwierdzić jeszcze zawartą niedawno *przyjaźń angielsko-francuską*, i która widocznie wzbudza gniew i niepokój w *Niemczech*.. Na drugi plan zeszedł zatarg między *Bułgaryą a Turcyą*, który w ostatnich dniach tak się zaostrzył, że *wojną grozi* i zapomniano już o krwawych wypadkach w *Serbii*, a nawet o rezultacie wyborów w *Niemczech*. Nawet ciężkie przesilenie, jakie przechodzi obecnie monarchia *austro-węgierska*, przesilenie już nie gabinetowe lecz *wprost państwowe* mniej budzi zajęcia. A jednak jest to może w obecnej chwili *najważniejsza* sprawa w Europie. Jeźli bowiem stronnictwo niezawisłości na Węgrzech dopnie celu, jeźli obali także rząd hrabiego *Khuena Hederwarego*, jeźli zmusi koronę do przyznania Węgrom zupełnej niemal samodzielności, będzie to początek rozwiązania Austryi jako mocarstwa. *Czesi* grożą już bowiem, że w takim razie pójdą za przykładem Węgier i również oderwą się od reszty państwa. Słychać już, że cesarz Franciszek Józef nosi się z myślą abdykacyi na rzecz bratanka swego, arcyksięcia *Franciszka Ferdynanda*. Na razie, być może, przesilenie da się jeszcze przewlec, gabinet dr. *Koerbera* który podał się do dymisyi, pozostanie jeszcze w urzędzie, ale w jesieni wszelkie kwestye wrócą na porządek dzienny z zdwojoną mocą. Nie dziw więc, że bracia nasi w Galicyi z niepokojem śledzą przebieg wypadków w monarchii, do której los ich przyłączył.

*K. O.*

# Przegląd prasy.

Quem deus perdere vult, dementat — „Bóg chcąc kogoś zgubić, odbiera mu rozsądek.“ Słowa te przypominają się, gdy rozważymy postępowanie górnośląskich centrowców świeckich i duchownych. Opanował ich jakiś szał polityczny, popychający ich do kroków, które odbiją się na nich samych dotkliwie.

W jak najgorszem świetle stawia górnośląskich księży-germanizatorów *niesłychany* fakt, że zabitemu przy rozruchach w Laurahucie górnikowi ksiądz odmówił ostatniej posługi. Otóż co czytamy o tem w „Dzien. Pozn.“

„Pogrzeb górnika Trafalczyka, który padł trupem podczas zaburzeń w Hucie Laury odbył się z udziałem kilku policyantów i żandarmów, którzy pochód żałobny odprowadzili tylnemi ulicami, aby uniknąć rozgłosu i dalszego

niezadowolenia ludności. Wszystko od było się tak niespodzianie, że nawet najbliżsi przyjaciele zmarłego nie mogli wziąć udziału w pogrzebie. *Ksiądz proboszcz odmówił wszelkiego udziału w pogrzebie.* Teraz lekarz dr. Stęślicki i redaktor Korfanty złożyli na grobie Trafalczyka wieńce z napisami, ale je policya usunęła."

W ślepej swej nienawiści do polskości księża-germanizatorzy posunęli się ieżo znowu do niebywałego nadużyi władzy kościelnej w celach polity-nych jakby nie pojmowali, że siejąc zgoryczenie pomiędzy pobożnym ludem polskim wyrządzają nieobliczalną szkodę Kościołowi na Śląsku. Otóż odmówili oni *posłowi Korfantemu* udzielenia Sakramentu małżeństwa, a jak donosi „Oberschl. Wanderer" *sam kardynał Kopp* jest za to odpowiedzialnym. *„Górnoślązak"* pisze o tem co następuje:

„Dziś we środę o godzinie 4-tej po południu miał się odbyć w kościele ś. Trójcy w Bytomiu ślub posła do parlamentu i redaktora naszego, p. Wojciecha Korfantego. Wszystko zdawało się być w jaknajlepszym porządku, ks. proboszcz już przed tygodniem przyjął zapłatę, zażądał od p. Korfantego oświadczenia na piśmie, że w sprawach kościelnych zawsze będzie posłusznym biskupowi i władzy kościelnej, i oświadczenie to otrzymał, dopiero wczoraj o godzinie 6 wieczorem oświadczył ks. prob. Schirmeisen p. Korfantemu, wracając mu zarazem odebraną zapłatę, że *mu ślubu dać nie może, chyba że w polskich i niemieckich pismach przeprosi wszystkich księży, przeciw którym „Górnoślązak" występował, że przeprosi ks. kardynała Koppa a zarazem da przyrzeczenie, że już nigdy przeciw księżom występować nie będzie.*"

P. Korfanty takiego przyrzeczenia nie dał i dać nie mógł. Zresztą postępowanie takie przekracza kompetencyę duchownego i zakrawa na szykanę.

„Księża centrowcy, pisze dalej „Górnoślązak", kopią gwałtem grób dla swej powagi, w oczach ludu polskiego stają się oni teraz jego największymi wrogami.

„Przez takie prześladowanie zacieśni się tylko węzeł przyjaźni pomiędzy ludem a jego przewodnikami tem bardziej, sprawa polska na tem zyska, a stracą księża germanizatorzy.

„Wesele bez ślubu! Nie jedenby może nie chciał wierzyć temu! I prawda, to rzecz nadzwyczajna, rzeczywiście możliwa tylko na Górnym Śląsku, gdzie wszechwładnie panuje policya, no i księża centrowcy."

*„Dzien. Pozn."* *stwierdza, że*

„ks. Schirmeisen popełnił wielki błąd nie tylko jako polityk, ale po prostu jako sługa kościoła. Następstwa nie trudno przewidzieć."

Wszystkie pisma wyrażają zgodnie swe oburzenie. W *„Nowej Reformie"* czytamy w tej materyi co następuje:

„Według informacyi prywatnych, jakie w tej sprawie otrzymaliśmy, pan Korfanty zwrócił się do duchowieństwa katolickiego w Krakowie z prośbą o danie mu ślubu w jednym z kościołów krakowskich.

„Wobec ścisłych pod tym względem przepisów (? ?) kościelnych, *spełnienie tej prośby było niemożliwe.* Wystąpienie duchowieństwa śląskiego wywołało jednakże ogromne oburzenie w kołach duchowieństwa krakowskiego i z tych kół dano p. Korfantemu radę, ażeby odwołał się do nuncyusza papieskiego w Wiedniu."

Było-by ciekawą rzeczą dowiedzieć się jakie to ścisłe przepisy ma pod tym względem duchowieństwo krakowskie. Czy odebrało ono rozkaz, aby nie robić nic wbrew woli księdza kard. Koppa? Nie przypuszczamy tego, lecz próżno szukamy innego powodu, który mógłby stać na przeszkodzie zaślubinom pana Korfantego w Krakowie.

Ks. kard. *Kopp* śmiał nawet uwiadomić biskupów okólnikiem, iż odmówił ślubu posłowi Korfantemu. Ze postępowanie to, niczem nieuzasadnione, jest zupełnie niezgodnem z nauką Kościoła dowodzi jasno pewien *rzymsko-katolicki duchowny w „Gońcu Wielk."* tak pisząc:

„Podług nauki Kościoła nie kapłani udzielają Sakramentu małżeństwa, lecz nowożeńcy *sami przez obopólne zezwolenie i wzajemną zgodę.* Jeżeli więc dwie osoby, nie połączone ani pokrewieństwem, ani powinowactwem, chcą zawrzeć węzły małżeńskie, to *tym nawet sam kardynał Kopp w tem im przeszkodzić nie może.* Jeżeli zapowiedzi trzykrotnie zostały wygłoszone wobec zebranego ludu, wtenczas miejscowy proboszcz *nie* może odmówić swej asysty przy ślubie.

„Nawet notoryczny, powszechnie znany występek jednego z oblubieńców nie może w żaden sposób upoważnić miejscowego proboszcza do usunięcia się od asysty. Wszakże nie odmawia Kościół błogosławieństwa heretykom przy mieszanych małżeństwach, choćby nawet obie strony były jawno-grzeszne, i wtenczas miejscowy proboszcz nie może wykluczyć ich od błogosławieństwa kościelnego, jeżeli obie strony przystąpiły poprzednio do spowiedzi św., bez względu na to, czy rozgrzeszenie otrzymali lub nie.

„A jeżeli mimo to znajdują się tacy „farorze," to postępują sobie *przeciw prawu kościelnemu, łamią i depcą wolę Chrystusa i stają się „wilkami w owczem odzieniu."*

„Lecz w takim przypadku parafianie są zwolnieni od posłuszeństwa dla swego pasterza. Albowiem chcą się zastósować do przepisów kościelnych, lecz nie mogą, bo „farosz" czyni im to niemożebnem!

„Dla tego wolno im się posługiwać zasadą „lex ecclesiastica non obligat suo grosi incommodo," tz., że prawo kościelne nie zobowiązuje nas, jeżeli wykonanie tego prawa połączone jest z wielką przykrością. A bezwarunkowo w przypadku p. Korfantego zachodzi wielka przykrość, bo wszystko już było do wesela przygotowane.

„A zatem podług tej zasady może młoda para o każdej porze udać się do swego proboszcza i mu oświadczyć, że za wzajemną zgodą zawiera małżeństwo i że od tej chwili obie strony uważają się za małżonków. Ślub będzie ważny i sakrament godnie przyjęty, choćby sobie „farosz" uszy zamykał.

„Albowiem czy chce, lub też nie, będzie słyszał obopólne przyrzeczenia. A to wystarczy, gdyż kapłan *jest tylko świadkiem,* szafarzami Sakramentu są nowożeńcy sami.

„Wobec tego trudno uwierzyć, że księża germanizatorzy tak dziecinnego środka się chwycili, aby zdyskredytować pana Korfantego."

*Z wyborów na G. Śląsku* wyraża swe zadowolenie Tow. Wyborcze na Śląsk w odezwie do wyborców, w której między innemi pisze:

„Wynik wyborów przewyższył oczekiwania nasze! Mimo gwałtów niesłychanych, ucisku strasznego, nadużyć wprost wstrętnych, skupiliśmy około sztandaru naszego zastęp około 45 tysięcy. To silny fundament, na którym bezpiecznie budować można gmach odrodzenia narodowego na Śląsku.

Dzień 25 czerwca na wieki pamiętnym pozostanie w historyi Śląska; w tym dniu runęła pod naporem polskich wyborców baszta tego muru, który od 6 wieków Śląsk odgraniczał od reszty braci naszych.

„Do dzieła zatem, Wiarusy! Wyłom już gotowy; rozszerzcie go dalej a dalej, aby mógł runąć przezeń strumień ożywczy uświadomienia narodowego; niechaj każdy wedle sił i możności usuwa mu kamienie i zapory, aby się rozlał i ogarnął całą krainę Śląską — co daj Boże!"

Według urzędowej statystyki wynik wyborów tamże był następujący:

„1) okręg pszczyńsko-rybnicki: Uprawnionych do głosowania było w powiecie pszczyńskim 20,370, w powiecie rybnickim 18,035, razem więc 38,405 osób. W powiecie pszczyńskim głosowało 15,642, w powiecie rybnickim 18,035, razem 29,565 wyborców; w tej liczbie głosów nieważnych było 59, tak że wszystkich głosów ważnych oddano 29,506. Na p. Kowalczyka oddano głosów: w powiecie pszczyńskim 6670 w powiecie rybnickim 7490, razem zatem 14,160; na p. Faltina oddano głosów: w powiecie pszczyńskim 8934, w powiecie rybnickim 6412, razem 15,346. *Wobec tego p. Faltin miał 1186 głosów więcej niż p. Kowalczyk.* 2) okręg katowicko-zabrski: Wyborców uprawnionych do głosowania było 62,667. Oddano 46,525 głosów, z których otrzymał Letocha 22,875 głosów. Korfanty 23,350; nieważnych było 164. *Korfanty wybrany większością 675 głosów.*"

*Socyaliści w ostatnich wyborach* pozyskali 3 miliony nowych głosów i 24 mandaty. W Berlinie samym licz-

**ba głosów oddanych na socyalistów wzrosła o 63 tys.. W W. Ks. Poznańskiem** oddano w r. 1898 4,586, a w roku 1903 — 8,467 głosów na kandydatów socyalno - demokratycznych. Berliński „Vorwärts" zestawiając te cyfry, nawiązuje do nich następujące uwagi:

„Liczba głosów naszych podniosła się, co przedewszystkiem zawdzięczamy sprężystej agitacyi i zgodnej organizacyi w ostatnim czasie przed wyborami.

„Lecz inny osobliwszy objaw uderzać musi przy tegorocznych wyborach. Podczas gdy głosy socyalistów się podwoiły, a głosy polskie znacznie się powiększyły, liczba głosów oddanych na wszechniemieckich kandydatów miszmaszowych nie tylko nie urosła, ale nawet, jak się to stało w okręgach poznańskim miejskim i wiejskim, znacznie się zmniejszyła. Fakt ten jest tem więcej podpadającym, iż rząd podjął jak największe starania w celu zgermanizowania Księztwa. Wydano na to miliony, sprowadzono setki kolonistów i urzędników, aby podnieść niemczyznę. Mimo to przyrostu głosów niemieckich nie było, a nadto dwa mandaty przeszły w ręce polskie. Prasa konserwatywna jest wobec tego zupełnie bezradną i stara się wykręcić żądaniem nowych praw wyjątkowych przeciwko Polakom.

„Wynik wyborów bodaj będzie dla hr. Buelowa nauką, natomiast na pewno twierdzić można, iż najnowsza klęska w polityce „kresów wschodnich" nie powstrzyma go od szukania dalszych klęsk. W zgubnym systemie nic się nie zmieni."

*„Rokiem historycznym"* nazywa *„Orędownik"* rok 1903, bo

„Po raz pierwszy — od wieków całych — fala żywiołu niemieckiego, krocząca z przerwami, ale stale, na wschód, zetknęła się przy tegorocznych wyborach *z ludem polskim* i znalazła w nim po raz pierwszy żywiołową zaporę na całej przestrzeni wschodniej granicy państwa pruskiego."

Z tego faktu oraz samodzielności i uświadomienia wśród ludu „Orędownik" wysnuwa takie wnioski na przyszłość.

„Nasza polityka narodowa, tj. obrona naszego bytu narodowego, wstąpi na inne tory, od dotychczasowych odmienne, bo opierać się teraz będzie prawie wyłącznie na żywiole ludowym, samodzielnie swe interesa narodowe sprawiającym;

„Nastąpi także zmiana dotychczasowego, tradycyjnego stosunku ludu polskiego do księży i czynników kościelnych. Od tegorocznych wyborów rozpocznie się w całym żywiole polskim na większe rozmiary emancypacya ludu polskiego z pod wpływów księży w sprawach czysto świeckich narodowych. Rozgłośną na cały naród pobudkę do tego dał znany list pasterski księcia biskupa wrocławskiego — wbrew jego własnej woli!"

Jak wiadomo mamy szesnaście mandatów, ale dotąd tylko piętnastu posłów, **bo p. Leon Czarliński obrany w dwóch okręgach przyjął mandat szubińsko-wyrzyski a zrzekł się całkiem pewnego mandatu tucholsko-chojnickiego.** Przyjdzie tam więc do ponownych wyborów.

Na dwóch zebraniach w tym okręgu: w Czersku i Tucholi postawiono na pierwszem miejscu kandydaturę pana *Kulerskiego,* na drugiem *dra Karasiewicza.* Zdawało się więc, że p. Kulerski wstąpi w miejsce pana Czarlińskiego.

*„Dzien. Pozn."* występujący stale przeciw wszystkim kandydatom ludowym zdobył się tym razem na taką uszczypliwą i dla całego Koła polskiego obraźliwą uwagą:

„My dziś stanowczo popieramy pana Kulerskiego, którego osobistość jeszcze więcej *urozmaici (!?)* Koło polskie."

*„Kur. Pozn."* zauważa na to:

„Szkoda, że rzeczy tak poważnej, jak sprawa Koła polskiego „Dz." nie umie traktować inaczej, niż niesmacznym dowcipem."

A „Pos. Ztg." notując tę uwagę „Dziennika" sądzi, że „Dzien." występując przeciwko panu K. mógł był wynaleść lepszy powód na uzasadnienie swego stanowiska.

Rzeczy wzięły jednak niespodziewany obrót. Na zjeździe delegatów i komitetu centralnego w Grudziądzu *odrzucono* kandydaturę pana Kulerskiego, a postawiono pana *St. Sikorskiego z Wielkich Chełmów,* bo — jak pisze korespondent „Dzien. Pozn."

„Zjazd delegatów wychodzi z tego założenia, że jemu przysługuje prawo wyznaczania kandydatów na posłów i że w danym razie delegaci jako przedstawiciele całego kraju, mają ze względów na dobro całości, ostateczną decyzyę co do osoby poszczególnych kandydatów i nie potrzebują się krępować wolą wyborców odnośnego okręgu.

„Obecny zjazd delegatów powołał się w tym względzie na uchwałę jednego z dawniejszych zjazdów, ***na którym wyraźnie przyznano zjazdowi prawo odrzucenia w danym razie wszystkich*** kandydatur, postawionych w danym okręgu i naznaczenia *nowych.*"

W sprawie kompetencyi delegatów wypowiedzieliśmy nasze zdanie przed wyborami w artykule wstępnym dotyczącym sprawy kandydatury pana Kulerskiego.

Wiadomo zatem Czytelnikom naszym, że na procedurę, jakiej chwycono się na zjeździe w Grudziądzu, nie możemy się godzić żadną miarą — tem mniej, że p. Sikorski nie był *wcale postawionym* na liście i kandydaturę jego *odrzucono.*

**Zjazd delegatów nie uszanował wcale woli ludu, lecz narzucił mu z góry kandydaturę pana Sikorskiego.**

**W *„Orędowniku"* pisze o tej sprawie pewien korespondent:**

„Nikt nie byłby się jednak spodziewał, że zjazd delegatów posunie się tak daleko, że zupełnie legalnie postawioną kandydaturę przez obydwa powiaty i to ogromną większością pot drugi odrzuci. Zjazd delegatów pokazał, że mu nie chodziło o sprawę narodową, o zgodę, o uspokojenie wyborców, lecz kierował się jedynie względami osobistemi. Jeżeli wyborcy ugięli się za pierwszym razem i oddali głosy na pana Czarlińskiego, jeżeli umieli podporządkować względy osobiste pod względy solidarności narodowej, jeżeli p. Kulerski sam wydał odezwę do wyborców, że mają uszanować wolę, rozkaz władzy wyborczej, należało się spodziewać, iż wolę i życzenia ludu naszego nareszcie się uwzględni. Ale widać, że mamy osobistości w Prusach Zachodnich, którym zależy na tem, ażeby powstało w wyborach tucholskich *jeszcze większe zamieszanie i rozgoryczenie.*"

Dla postępowców w Wielkopolsce wynika z tego nauka, aby nie lekceważyli wyborów *delegatów powiatowych,* które nastąpią *w tym roku przed wyborami do sejmu,* lecz powierzali tę ważną misyę *tylko* osobom swoich przekonań politycznych. A zatem baczność!

Lecz cóż się stało w Tucholskiem? Otóż delegaci, depcąc bezwzględnie wolę ludu, wywołali — *secesyę.* Utworzył się komitet ludowy, który wydał odezwę, nawołującą do głosowania na pana *Kulerskiego. Na gwałt lud odpowiada gwałtem.* I zaprawdę nie można się temu dziwić! Panowie delegaci w Pr. Z. drwią sobie z ludu, narzucają się zawsze jeszcze na protektorów i nie chcą zrozumieć, że *nastały inne czasy.* Trzeba im przeto dać naukę!

Wybory odbędą się w piątek dnia 10 b. m. Gdyby wskutek secesyi kandydat polski przepadł — *panowie delegaci będą musieli za to odpowiedzieć przed społeczeństwem.*

Przy wyborach w *wschowsko-leszczyńskiem* niemieccy katolicy dali Polakom taką nauczkę, że nawet dziennikowi ludzie „ładu i porządku" z najwyższem rozgoryczeniem piszą o nich. Korespondent *„Dzien. Pozn."* pisze o akcyi *ks. Tasch'a* — na którego „czystym charakterze kapłańskim" „Kur. Pozn." budował nadzieje — w tych słowach:

„powtarzamy, że całą odpowiedzialność ponosi ks. Tasch, u którego przywiązanie do krzesła poselskiego wzięło górę nad „czystym charakterem kapłańskim." Ks. Tasch nietylko nie oświadczył się za kandydatem katolickim, ale wręcz oświadczył, że palcem nie ruszy na rzecz kandydatury katolicko-polskiej.

**„Służymy dowodem. Nie tylko to ale nakłonił komitet katolicki niemiecki**

*do odrzucenia proponowanego przez komitet polski kompromisu.* Pismo komitetu niemieckiego pozostanie cennym dowodem, jakiemi uczuciami kierują się panowie komitetowi. *Hakatyzm najzwyczajniejszy, okryty maską katolickiej gorliwości.*

„Panowie ci wiedzieli, że w okręgu tym jest 41,000 katolików, a tylko 27,000 niekatolików, że Polaków jest 22,000, Niemców-katolików 18,000, że w r. 1898 Polacy ks. Taschowi kandydaturę ofiarowali, że z rąk polskich ją odebrał, że odebrał ją od Polaków przekonanych o kompromisie, a mimo to dziś siłą się na dowody, że kandydatura należała się ks. Taschowi.“

Jak wiadomo *„Dzien. Berl.“* donosił, że w sromotnej sprzedaży Pakosławia pośredniczył ajent p. Nepomucen Kierski, czemu tenże zaprzeczył w „Dzien. Pozn.,“ nadmieniając, że wytacza skargę sądową przeciwko wzmiankowanym pismom. Na to odpowiada mu *„Dzien. Berl.“:*

„Niech udowodni pod przysięgą, że ten fakt nie jest prawdziwy, że w frymarce o Pakosław najmniejszego nawet pośredniego nie miał udziału, a chętnie oddamy hołd prawdzie. Tymczasem, ponieważ wiadomość o udziale jego w sprawie pakosławskiej doszła nas ze źródła, które mamy powód uważać za pewne, więc czekamy spokojnie na wynik procesu.

„Szczególnie jesteśmy ciekawi „dowodów“ p. N. Kierskiego, że on nie przyczynił się do przejścia Ostrowitego w ręce komisyi kolonizacyjnej i że sam jej nie sprzedał swego Brzezia!“

Jest rzeczą nad wyraz przykrą, że znowu kursują wieści o rokowaniach różnych osób z komisyą kolonizacyjną. I tak *„Dzien. Kuj.“* donosi:

„Znany i szanowany p. K. Dąbrowski zamierza podobno swoje przeszło 200-morgowe gospodarstwo sprzedać; w przeszłą sobotę odbył się termin sprzedaży. Kupców Polaków dosyć było, ale jak słyszałem, zgłosił się kupiec Niemiec p. Richter z Złotnik, (Güldenhof) i podobno p. Dąbrowski pertraktuje z nim o sprzedaż swojego gospodarstwa. Można przypuszczać, że p. Richter jest od komisyi kolonizacyjnej przysłany, gdyż podaje bardzo wysoką cenę i to taką, że Polacy jej dać nie mogą. Jeszcze czas, ażeby p. Dąbrowski cofnął sprzedaż.“

Wobec powszechnego oburzenia na sprzedawczyków niepojętą jest rzeczą, że w Poznaniu sfery inteligencyi tolerują w pośród siebie osobistości zdyskredytowane w opinii publicznej. W dzisiejszym numerze ogłaszamy list, nadesłany nam z poważnej strony, który niezawodnie nie pozostanie bez wpływu i bez wrażenia. Jeżeli oburzenie to nie ma uchodzić za *obłudę,* czas aby inteligencya poznańska zajęła odpowiednie stanowisko wobec sprzedawczyków i ajentów frymarczących polską ziemią.

*Red.*



# Głosy od Przyjaciół.

*Z miasta,* 3. lipca.

Gazety nasze zgromiły znowu dosadnio sprzedawczyków i tych ajentów, co z wytartem czołem frymarcząc ziemią polską rozpościerają się po Poznaniu. Wszystko to dobrze; nie ma słów nagany, które byłyby za silne dla tych wyrodnych synów. Najgorsza jednak, że te głosy prasy nie mają dosyć wpływu na ogół, który przytakuje tym artykułom tylko słowami, a nie *czynem.* Mówi się dużo o opinii publicznej, ale albo nie istnieje ona u nas, albo przypomina błędną owcę. Jednym zwłaszcza bogatym ogół wiele wybacza i zapomina, patrzy często przez szpary na wiele potępienia godnych spraw, innych natomiast pociąga do odpowiedzialności za byle co, a nawet urządza formalne naganki na ludzi wybitniejszych, stojących na innem stanowisku politycznem.

Podobnie dzieje się z sprzedawczykami. Otóż p. Nepomucen Kierski, mimo wszystko co o nim pisały gazety i co się o nim mówi, należy do Kółka bazarowego. Każdy mógłby przypuszczać, że jeźli członkowie Kółka dbają o reputacyą swego klubu i swoją własną, powinni byli dawno wykreślić go z listy. Czy ci panowie nie widzą, że ściągają na siebie podejrzenia i dyshohonor, tolerując pomiędzy sobą człowieka, który szuka zysków na tej drodze?

P. Nepomucen Kierski wprawdzie odgraża się „Dzien. Pozn.“ i Berlińskiemu, że pozwie ich przed sąd, ale sądzę, że na tej pogróżce się skończy. Gdyby tak nie było, całe zdrowo myślące społeczeństwo stanie po stronie tych pism. Nawet w razie gdyby pisma te miały być skarane — odniosą moralne zwycięztwo, bo p. Kierski nawet w najlepszym razie nie zdoła się oczyścić z winy i przekonać ogółu, że zarobkuje w sposób godziwy. A na Kółku bazarowem ciążyć będzie plama, tak że żaden szanujący się obywatel nie będzie mógł się do niego zapisać. Dzisiaj już wielu stroni od Kółka, a jeźli tak jest, to członkowie Kółka są sami temu winni. Zwracam tym panom na to uwagę, upominając ich, aby nie zniesławiali jedynego ogniska towarzyskiego inteligencyi poznańskiej, nie obciążali zarzutem obywateli poznańskich, że tolerują ludzi maczających ręce w gadzinowych funduszach hakatystów.

Jeżeli Kółko nie pozbędzie się zaraz tak mętnych żywiołów, będziemy wiedzieli, że jest to grono nie dżentelmanów lecz szulerów.

*Ustronny.*

* * *

Od pana dra I. N. Szumana, lekarza na Łazarzu (Głogowska ul. nr. 93) odbieramy następujące pismo:

Do Szanownej Redakcyi „Pracy!“

Ponieważ nieprawdziwe wiadomości, tyczące mego nazwiska, a podane przez codzienne pisma tak polskie jak niemieckie, mogą w błąd wprowadzić szerokie koła publiczności, upraszam Szanowną Redakcyę „Pracy“ o zamieszczenie następującego wyjaśnienia.

Dowiodłem przed trzema instancyami sądów pruskich na mocy rodzinnych dokumentów, że mam prawo do nazwiska: „Szuman,“ ponieważ tak opiewa moja metryka i takie nazwisko nosili członkowie czterech ostatnich (a zapewne i dawniejszych) generacyi mej rodziny.

Wyrok kammergerichtu berlińskiego, który takie brzmienie mego nazwiska zatwierdził, jest ostatecznym, ponieważ jest to najwyższa i jedynie kompetentna instancya.

Jeżeli owych wyroków sądów pruskich włącznie najwyższej instancyi, nie uszanowała ani rejencya poznańska, która rozporządziła zmianę pisowni mej metryki w księgach kościelnych czarnkowskich, ani policya poznańska, która nakazała mi zdjęcie szyldu z właściwem nazwiskiem, wiszącego przy ulicy — i jeżeli ten krok policyi poznańskiej zatwierdziły dwie instancye administracyjne — na to jest tylko jedno wytłomaczenie:

Żyjemy w Prusach! *)

W każdym razie wyroki sądów administracyjnych tyczą jedynie szyldu, wiszącego przy ulicy, nie dotykają zaś mego nazwiska, które jest i pozostanie: „Szuman.“

Nie mogę wprawdzie zmusić ani rejencyi, ani policyi pruskiej, aby pisała nazwisko moje we właściwy sposób, ale na odwrót okazała się i rejencya i policya pruska za słabą, aby mnie zmusić do zmiany właściwego nazwiska, ponieważ w istocie — są jeszcze sędziowie w Berlinie.

Łączę wyrazy poważania
*Dr. J. N. Szuman.*

Poznań, 3-go lipca 1903.

*) Wiadomo, że sądy administracyjne są instytucyą specyalnie pruską.

*Z nad Rury, 4 lipca.*

Wybory skończone! Czytając gazety centrowe nadreńskie i westfalskie — spotkałem się z ostrymi zarzutami przeciw nam Polakom z powodu ich wrzekomej „zdrady i niewdzięczności.“ I cóż tego powodem? Oto łączność, którą okazali Polacy — idąc na wybory z otwartą przyłbicą i głosując na swego, czem uniemożliwiono wybór ściślejszy — pomiędzy centrowcem, a socyalistą.

Mieszkając tu pewien czas, przekonałem się jak każdy z nas, że Niemiec katolik — tylko o tyle sprzyja Polakowi — o ile tenże popiera politykę centrowców, ale biada mu, jeżeli przeciwnego jest zdania.

Ksiądz niemiecki to zapaleniec i germanizator w całem znaczeniu tego wyrazu. Dowodów na to już nie potrzeba. Przegląd bowiem statystyki wyborczej u was i burd Leszna i Torunia — a później i Slązka — to wystarczy. Tam wszystkie tak zwane katolickie fereiny szły ręka w rękę z przeciwnikami kościoła, i głosy swe oddali największym wrogom katolików. Nawet pozwolono sobie bić polskich robotników po twarzy — wydzierając im karteczki polskie — a wciskając niemieckie — a we Westfalii chciano po wyborach wzbronić udziału polskiemu towarzystwu z chorągwią w procesyi. Dalej — cóż pisały centrowe blaty tutajsze o okręgu wyborczym Leszno przed wyborami ściślejszemi? „Okręg ten wydarli nam Polacy i przychodzą z Niemcem-rządowcem — do ściślejszego wyboru. Naturalnie — że Niemcy staną frontem jak jeden mąż i bardzo słusznie.“ Ale nie wspomniały ani słówkiem o tem, że okręg ten przed pięciu laty zastępował Polak, p. Chłapowski i że to okręg kompromisowy — który się teraz słusznie należał Polakowi. Słusznie też pisze „Lech“ — że jeszcze krok tylko dzieli Niemców od Los von Rom. Czy w większem czy mniejszem towarzystwie spotkamy się ze zdaniem, które ci, miły bracie kością w gardle stanie: „Mybyśmy (tak mówią tutejsi katolicy), będąc w polskich stronach — nigdy nie oddali głosu Polakowi. Lepszy Niemiec żydowski — bo Polacy i socyaliści, to najwięksi wrogowie niemieckiej ojczyzny.“ Od nas zaś żądają, tutaj byśmy centrowcowi głos oddali! Dlatego, że powiadają, wyście tu do nich przyszli po zarobek. Niech licho weźmie z taką konsekwencyą! W polskich stronach milszy dla Niemca katolika konserwatysta lub liberał — choć zarząd główny tych ostatnich wydał przed wyborami odezwę pod tytułem: „Nationale Jugend,“ w której czytamy następujący ustęp dosłownie: „W jednym punkcie zgadzamy się z socyalistami: „Religion ist Privatsache“ — religia jest rzeczą prywatną. — Tacy to są nasi bracia w Chrystusie.

Po takich smutnych doświadczeniach spójność nasza tem większą być powinna. Jednością silni, nieoglądając się wcale na nikogo, nie zginiemy.

Jeszcze słówko. W pewnem mieście — w tych stronach był obchód 50-letni jubileuszu Papieża. Przybył także ksiądz Polak — by odwiedzić kolonią polską. Po wielu zachodach pozwolono mu mieć kazanie, ale pod warunkiem — że tylko do rzeczy mówić będzie — ale nie pozwolono mu wystawić Najświętszego Sakramentu. To uskutecznił proboszcz sam. Będąc zaś w gościnie u tegoż proboszcza musiał się ksiądz nasz jeszcze nasłuchać o niewdzięczności tutejszych rodaków i t. d. — Jeżeli tutejsi księża tak dalej postępować będą z ludem naszym i obrażać go w najświętszych jego uczuciach — to wielki rachunek zdać będą musieli przed Bogiem. — Postępowaniem swojem odpychającem pędzą go w szeregi socyalistów. My tu w Westfalii i Nadrenii żyjący Polacy, zmuszeni szukać chleba na obcej ziemi — chcemy żyć w zgodzie i jedności.

Niepotrzebujemy tutaj innych nowych gazet jak ów „Przewodnik na obczyźnie“ na żołdzie centrowców-germanizatorów!

Wystarczy nam „Wiarus“ i gazety z Księztwa, Prus i Slązka — bo te nowe gazety tylko rozprzężenie i niezgodę wnoszą do tutajszej Polonii.

Tym zaś — którzy założyli wspomniany organ w Dortmundzie mający na celu zbliżenie nas do centrum, przypominamy zebranie generalne katolików niemieckich w Osnabrück — gdzie pomiędzy innemi radzono nad duszpasterstwem Włochów — pracujących w Niemczech i uradzono, że jest rzeczą konieczną sprowadzić księży z Włoch i im duszpasterstwo powierzyć. Czy wspomniano tam słówkiem o przeszło 200,000 Polaków w Westfalii i Nadrenii? Tak postępują z nami ci mili bracia w Chrystusie. A czy zapomniano już o księdzu Lisie. Ileż ten kapłan gorliwy musiał tutaj znosić prześladowań, walcząc za nami. Czyż jeszcze mało dowodów? — Zresztą zaczekamy, a dowiemy się jeszcze innych rzeczy po tegorocznych wyborach.

*Jeden za wielu.*



***— Manuskryptów niezwrócamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

*Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“*



*Kwity na „Pracę“ i Czytelnią Polską“ na bieżący kwartał są zamieszczone na osobnej stronie pod okładką.*

## Szanownych Czytelników

***w Galicyi***

**i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości**

***2 kor. 30 hal.***

**wprost do administracyi „Pracy“,** albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

**tylko 1 kor. 47 hal.**



*Karol Wł. Szermer.*

# PACIORKEK.

# Dział illustrowany.

## IV Zlot Sokołów we Lwowie

### dnia 28 i 29 czerwca 1903 r.

Stolica Galicyi, miasto Lwów, było w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca świadkiem bardzo pięknej, wzniosłej, na wskroś patryotycznej i nadzwyczaj serdecznej kilkudniowej uroczystości IV Zlotu Sokołów.

Około 40 tysięcy ludności pomimo fatalnej pogody, zebrało się dnia 27-go z. m. wieczorem na lwowskim centralnym dworcu kolejowym, na placu kolejowym i na ulicach, prowadzących z dworca do miasta, oczekując na przybycie druhów sokolich, zdążających do Lwowa osobnymi pociągami z różnych stron kraju, oraz z Czech, Moraw, Chorwacyi i z pod zaboru pruskiego.

Kulminacyjnym punktem uroczystości powitania było przybycie pociągu krakowskiego, wiozącego równocześnie gości z Poznańskiego, oraz z Kongresówki. Drużyna sokola z Wielkopolski, przez całą drogę była przedmiotem najserdeczniejszych owacyi ze strony ludności. W Rzeszowie zarzucono ją bukietami. W Przemyślu zorganizowana była cała akcya celem uroczstego powitania drogich sercu polskiemu gości. Obdarzono ich bukietami na dworcu, zaś uczniowie VII. klasy gimnazyalnej wręczyli przodownikowi drużyny wieniec z szarfami, z malowaną tarczą a uwidocznieniem herbu Polski, Rusi, Litwy, z podpisem „Braciom Wielkopolanom — Bracia Przemyślanie.“ Z wieńcem tym i bukietami w dłoni wkroczyli Sokoli wielkopolscy na peron.

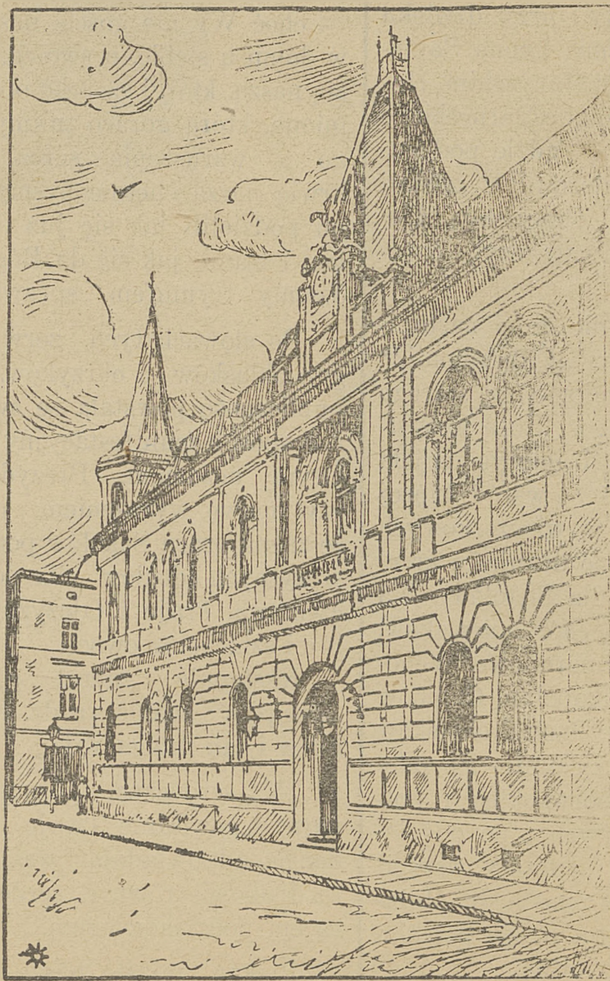
Rzucono czapkami w górę, muzyka zagrała marsza „Tysiąc walecznych,“ Sokolice zanosiły się od płaczu, wznosząc drżącemi ustami okrzyki: „Czołem!“ — Bo też to była — pisze lwowskie „Słowo polskie,“ — chwila nader rozrzewniająca. Z dalekich kończyn naszej Ojczyzny z pod berła ucisku, zda się przygnębieni, duchowo upadli — przyszli do nas w liczbie 85, ażeby obecnością swą uświetnić chwilę, ażeby zaznaczyć solidarność wszystkich dzielnic w jednej wielkiej idei. Przybyli w liczbie 85, a na czele ich stali członkowie Związku Sokołów polskich z cesarstwa niemieckiego: poseł Bernard Chrzanowski, Teofil Preis, Karol Rzepecki i Wiktor Gładysz (naczelnik Związku) wszyscy z Poznania, a nadto Stanisław Milewski ze Środy.

Reprezentowane były gniazda: z Poznania i św. Łazarza, z Obornik. Środy, Gniezna, Ostrzeszowa, Kościana, Ostrowa, Pleszewa, Czempinia, Wrocławia, Strzelna, Śremu, Buku, Jeżyc, Wildy, Mogilna, Kórnika, Gostynia, Leszna i Czarnkowa.

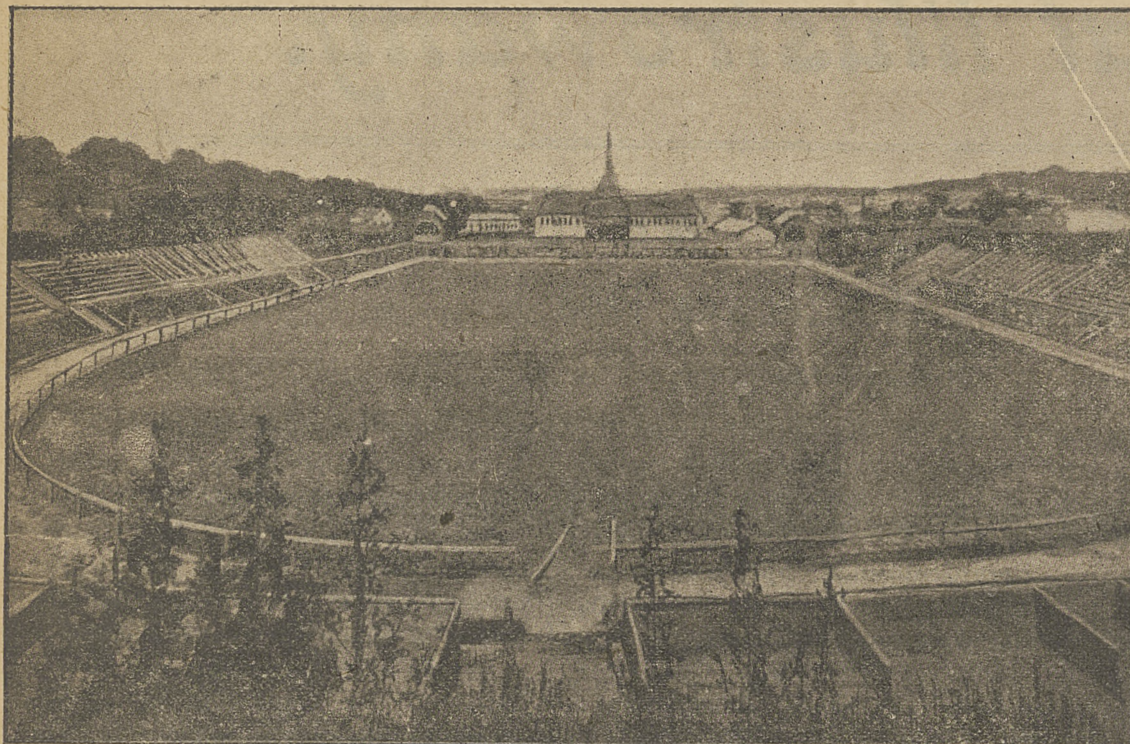
Jakkolwiek uwaga tłumów, mimo deszczu w olbrzymiej liczbie zebranych, była wyłącznie prawie zajęta Wielkopolanami, niemniej jednak zauważono w grupie przybyłych kilkunastu włościan w stroju krakowskim. Byli to włościanie z Bieńczyc z Ptakiem na czele. Młodzież gimnazyalna entuzyastycznymi witała ich oklaskami; kobiety rzucając kwiaty na Wielkopolan nie zapomniały i o naszych braciach — Sokołach włościańskich.“

Ogólne zaciekawienie budziły Sokolice, w liczbie 80, które po raz pierwszy ukazały się publicznie w tak znacznym zastępie. Strój sokoła żeńskiego składa się z amarantowych bluzek, jasnopopielatych spódniczek, ozdobionych kremowego koloru pasami, które opasują kibić i spadają z fantazyą na tło sukienki. Okrycie głowy zdobi rogatywka biała z popielatym, koloru sukni paskiem i piórem sokolim. Bluzkę pod szyją zapina broszka, wyobrażająca sokoła polskiego.

Sokoli ruszyli do miasta i do swoich kwater ulicami przepełnionemi publicznością. Na dwukilometrowej przeszło przestrzeni młodzież szkolna i róż-



Gmach „Sokoła“ we Lwowie.



Widok boiska „Sokoła“ we Lwowie.

wej, niech kwitnie i rozwija się dla dobra kraju i Ojczyzny!

Niech, jak lew na tarczy jego, zawsze gotowe do walki i pracy, spogląda śmiało i z wiarą w gwiazdę lepszego jutra, lepszej doli w dalekie przestworza błękitu, z których spłynie, spłynąć musi królewski ptak nasz biały!

To lepsze jutro, ta lepsza dola ma dziś przyszłość tem bliższą, im większą i powszechniejszą staje się świadomość, że prawa należne każdemu narodowi zdobywa się nie płaczem i łaską postronną, ale wielkiem praw tych pożądaniem i wielką w zdobywaniu ich wiarą we własne siły, wielkiem tych sił skupieniem do celu jednego, wielką powszechną służbą obywatelską w dążeniu do tego celu.

ne stowarzyszenia tworzyły szpaler, utrzymujący porządek.

A był to pochód prawdziwie tryumfalny. Poprzedzał go okrzyk: „Poznańczycy idą“ podawany z ust do ust. Okna otwierały się, wznoszono okrzyki „niech żyją,“ powiewały chustki, entuzyazm dochodził w miarę posuwania się do miasta — punktu kulminacyjnego.

Pochód uroczysty przy dźwięku kapeli — szedł ulicami: Leona Sapiehy, Kopernika, placem Maryackim, Halickim, Bernardyńskim, Czarneckiego na ulicę Łyczakowską, gdzie pod numerem 5-tym zakwaterowani zostali wielkopolscy sokoli. Przez całą drogę pochodowi ich towarzyszył entuzyazm olbrzymi.

Uroczyste powitanie gości nastąpiło w olbrzymiej sali „Filharmonii,“ przerobionej jak wiadomo, ze starego teatru Skarbkowskiego. Loże wszystkich pięter, balkony i galerye zajęła wytworna publiczność, wśród której przeważały panie w wieczorkowych toaletach. Dół cały po usunięciu krzeseł zarezerwowano dla Sokołów. Na estradzie ustawił się chór śpiewaków, a po za nim orkiestra narodowa. Wchodzących do sali Wielkopolan, Czechów i Chorwatów witano burzą oklasków i długotrwałymi okrzykami. Po odegraniu czeskich, chorwackich i polskich pieśni narodowych i po odśpiewaniu odpowiedniej kantaty wstąpił na estradę prezydent miasta dr. Małachowski w wspaniałym stroju polskim i wygłosił mowę powitalną.

Witał imieniem reprezentacyi i obywatelstwa miasta Lwowa przedewszystkiem dzielnych pobratymców naszych z pięknej, szerokiej czeskiej i morawskiej ziemi, która prócz skarbów natury i przemysłu, ma skarb najdroższy: lud dzielny, praw swych i obowiązków narodowych świadomy, witał drogich gości z Chorwacyi, której losami tak gorąco interesuje się naród polski, poczem tak dalej mówił:

„A teraz witam Was drodzy, ukochani bracia od Gniezna i Poznania, — choć Wy nie goście nasi, boście tu w domu u siebie, u swoich, boście bracią naszą, której szeroko otwieramy ramiona, którą gorąco tulimy do bijącego z wzruszenia serca. Serdeczną krwią naszą chętnie byśmy się z Wami podzielili jak się już dzielimy bólem i łzami, jak się da Bóg dzielić będziemy tryumfem sprawiedliwości.“

Po słowach tych zerwał się huragan oklasków i okrzyków. Wszystka publiczność powstała ze swych miejsc i w sposób manifestacyjny dała wyraz swym uczuciom. Prezydent zakończył mowę wyrażeniem przekonania, że zacna praca Sokołów podjęta w imię szczytnych ideałów dla dobra społeczeństwa, kraju i Ojczyzny wyda dobre i szlachetne owoce.

Następnie zabrał głos prezes „Związku“ sokolstwa dr. Ksawery Fischer i tak przemówił:

„Na serdeczne, gorące, a tak wymowne powitanie Twoje panie prezydencie odpowiadają wszyscy zebrani tu druhowie równie serdecznem i gorącem podziękowaniem.

Piękne miasto nasze, które było przez długie wieki przedmurzem Polski i strażnicą cywilizacyi, a dziś jest niegasnącem ogniskiem pracy narodowej, niech kwitnie i rozwija się dla dobra kraju i Ojczyzny!

Nam Sokołom wolno powiedzieć o sobie, że od nas wyszły wszystkie te hasła, które niezrozumiałe niedawno, idą dziś po wszystkich ziemiach polskich, niepowstrzymane w zwycięzkim swym pochodzie.

Wiernej służbie tym hasłom zawdzięczamy piękny i niezwykły w stosunkach naszych rozwój sokolstwa polskiego. Dzięki tym hasłom stawiło się sokolstwo polskie tak licznie na wielki przegląd swojego dorobku i pracy, w hasłach tych czerpiemy otuchę, że idea nasza dotrze w zwycięzkim pochodzie tam, gdzie dziś jeszcze nie jest ocenioną należycie, lub, co gorsza, jest obcą.

Otucha ta wzrasta i potężnieje na ten oto widok tak wspaniałego dowodu życzliwości i przyjaźni pokrewnych nam organizacyi sokolich, które na zaproszenie nasze wysłały tak licznych świadków i sędziów naszego dziś, tak życzliwych współpracowników naszego jutra.

Brak mi słów i siły, aby wyrazić z głębi serca imieniem Sokołów polskich gorącą podziękę i cześć starym wypróbowanym druhom spadkobiercom obywatelskiej myśli Tyrsza i Fügnera i dzielnym synom Chorwacyi, z którymi łączą nas niedawne, ale niemniej serdeczne, na polu pracy sokolej zadzierzgnięte węzły.

Niechaj słowom moim doda mocy i serca starodawne, jędrne a zwięzłością swą wymowne powitanie nasze, gość w dom, Bóg w dom!

Do was drodzy, rodzeni bracia z nad Warty zwracam się na ostatku. Jesteście bowiem tak samo jak my u siebie. Ziemia, po której stąpacie te-

raz, jest taką samą wspólną nam Ojczyzną, idącą z pokolenia w pokolenie dziedzictwem od prawieków, jak ta, z której przybywacie do nas.

Pogodnych, jak my, wiarą w niespożytość naszą, przyciskam was do piersi gorącej i wspólnie z wami wyciągam dłonie i otwieram serca do tych trzecich!

Dziś niema ich z nami. Źle mówię



Dr. Xawery Fischer,
prezes Związku „Sokołów" w Austryi.

— są, ale tak, jak być im wolno, myślą i sercem! Wyczekują oni z otuchą tak samo, jak my, zwycięztwa drogiej naszej idei sokolej, w której cześć wołam z głębi serca: Na zdar! Zdravo! Czołem!‟

Następnie przemawiali: dr. Jan Pipich, poseł ze Sejmu czesk. i wiceprezes czesko-morawskiego Związku „Sokołów,‟ dr. Scheiner, prezes „Sokoła‟ w Pradze, druh Chorwat, dr. Franje Buczar, apostoł gimnastyki, Szwed Balck, który w języku francuzkim wy-



Władysław Turski,
wiceprezes Związku Polsk. Tow. gimn. „Sokół" w Austryi i prezes Sokoła krakowskiego.

raził przedewszystkiem żal, że nie może do nas przemówić w naszym rodzinnym języku, ale szczęśliwym się czuje, że tu przybył i zachwycony jest widokiem uroczystości, jakiej nigdy w życiu nie widział. Przynosi Polakom od swej ojczyzny serdeczne pozdrowienie, a to co widział, napełnia go nadzieją, że doczekamy się kiedyś ziszczenia naszych ideałów. Zakończył wreszcie życzeniem powodzenia dla naszych prac patrjotycznych.

Wreszcie wśród ogromnego zapału i entuzjaztycznie witany zabrał imieniem Wielkopolan głos prezes *Związku „Sokolego‟* w Niemczech i poseł pan *Bernard Chrzanowski.*

„Gdyśmy przychodzili do was przed dziesięciu laty — mówił pan Chrzanowski, mieliśmy tylko 10 luźnych gniazd sokolich, a w słowach wypowiadanych tutaj była może i nuta niepokoju, obawy o przyszłość, nuta, którąśmy się starali ukryć i nie dopuszczaliśmy, aby sobie otuchy nie odbierać, a wam nie przynosić smutku. Zerwała się wtedy nad nami wichura i zdawało się, że nas złamie.

Dzisiaj przychodzimy w pośród tej



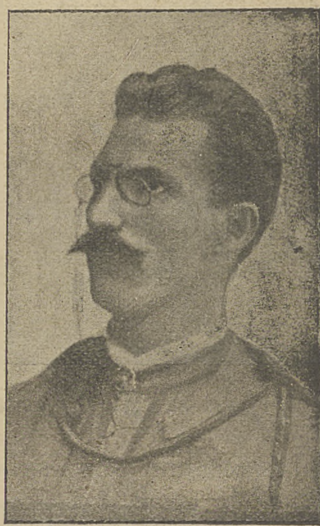
Dr. Godzimir Małachowski,
prezydent miasta Lwowa.

samej burzy, ale już w imieniu siedmdziesięciu gniazd sokolich, powstałych właśnie za czasów tej burzy. — W słowach naszych nie będzie już dzisiaj obawy — będzie spokój, a może nawet, wybaczcie, i duma.

Kiedy przed 10 laty prosiliśmy was o dar otuchy i pokrzepienia, to dziś od was tego nieżądamy, ale owszem sami przynosimy wam słowo otuchy i słowa nadzieji.

I jak się to stało? To w ogniu hartuje się żelazo a w ucisku twardnieje dusza. W tym ucisku nie jedno odleciało od nas ptasze błyskotliwe o krasych piórach, ale zostało za to nasze ptactwo o silnym locie i niezłomnym. Oto „Sokół‟ nasz poszedł między lud w warstwy rzemieślnicze i robotnicze. I to są dzieje ostatnich lat 10, a w dziejach tych jest odblask dziejów także całej naszej dzielnicy. W imieniu tej prastarej piastowej dzielnicy, a dziś już powiedzieć możemy, że w imieniu Ślązka przynosimy dla waszych serc radość a dla waszego ducha wiarę w przyszłość.‟

Nie pamiętamy wcale takiego zapału, jaki ogarnął to olbrzymie zgromadzenie po wysłuchaniu przemowy p. Chrzanowskiego. Nastała chwila w całem tego słowa znaczeniu podniosła a



Dr. Jan Czarnik,
prezes „Sokoła" — Lwów I.

wyrazem jej było choralne z kilku tysięcy piersi odśpiewanie modlitwy „Boże coś Polskę‟ z towarzyszeniem orkiestry.

* * *

Dnia następnego w niedzielę (29-go) zgromadzili się uczestnicy Zlotu przy sprzyjającej pogodzie o godzinie 9 rano



Antoni Durski,
naczelnik Związku „Sokołów" polskich w Austryi.

około pomnika Ujejskiego, a po przemówieniu p. Kazimierza Pepłowskiego, podzielili się na 4-ry części dla zwiedzania miasta. Czesi, Chorwaci i Wielkopolanie byli przedmiotem ustawicznych owacyj.

Już o godzinie 6 rano Lwów zwykle spokojny o tym czasie rozgwarzył się



Sztandar Związku „Sokołów“ w Niemczech na Zlocie we Lwowie.

i roztętnił nadzwyczajnie. Ze wszystkich stron spieszyły ku ul. Łyczakowskiej gromady Sokołów pieszych a u wylotu jej zebrał się oddział konny i podążył w górę ku boisku na próbę, gdzie nastąpiły ćwiczenia liczne różnych gniazd i zastępów, bądź na przyrządach, bądź w skakaniu, bądź też w budowaniu piramid.

O godzinie 5 po południu odbyły się ćwiczenia publiczne na boisku.

*Trzydzieści tysięcy ludu!* Cyfra mówi sama za siebie. Widowiska takiego przykładu szukać chyba gdzieś w starym Rzymie, lub w wielkich zgromadzeniach ludów w rodowej żyjącej wspólności. Trzydzieści tysięcy ludu zajęło trybuny na boisku zlotowem, cały okręg za siatką drucianą i okoliczne wzgórza parku łyczakowskiego. Wrażenie tak strasznego mrowiska tłumów nawet niemożliwe jest do stworzenia jakiego takiego pojęcia dla nieobecnych. Obecnym zaś pozostało tylko poczucie niesłychanego ogromu, przytłaczającego samym pomrukiem, a w chwili egzaltacji, w chwili podniecenia, entuzjazmu, okrzyków i oklasków, wrażenie burzy, rozpętania sił żywiołowych i głosu zbiorowego nie pojętej a tajemnej doniosłości.

A z tym tłumem harmonizowały łokciowej wysokości napisy na trybunach, flagi i ogromna przestrzeń samego boiska.

Co jednak zwracało uwagę to to, że w tym tłumie ogromnym na uczczenie Sokoła przybyłym znaleźli się także reprezentanci wojskowości z komendantem korpusu Fiedlerem i austrjacki namiestnik Potocki. Czasy się zmieniają i... polityka austrjacka też....

Wśród długotrwałych oklasków, których echo obiło się hen daleko o zachmurzony horyzont, weszło na boisko przy dźwiękach muzyki 1840 Sokołów przybranych w jasne koszulki i ciemne trykoty. Zasłużony Sokolstwu naczelnik Ant. Durski dał hasło do ćwiczeń. Sprawne szeregi wyćwiczonych druhów z taką subtelnością wykonały ćwiczenia, że wprost w podziw wprawiały tysiące widzów. Każdy obraz wywoływał huczne oklaski.



**Poseł Bernard Chrzanowski,**
prezes Związku Tow. gimn. „Sokół“ w Niemczech.

Za chwilę znowu zagrała muzyka, a przy dźwiękach marsza ruszył z szatni wśród barwnego szpaleru Sokolic oddział Sokołów czeskich z pięćdziesięciu ośmiu członków z druhami Klinkiem i Billekiem na czele. Zaraz za pojawieniem się pierwszego zastępu odezwały się gromkie okrzyki, które rosły z każdą chwilą, aż wreszcie stały się jednym olbrzymim głosem, „na zdar“. A witano w nich nie tylko reprezentantów bratniego, zaprzyjaźnionego narodu, ale także i jednostki w szkole sokolstwa wyćwiczone do doskonałości o silnych ramionach, karne i zwarte.

Ćwiczenia z maczugami, wykonane z ogromną precyzją i dokładnością, z automatycznymi nieledwie ruchami, spotykały się z ciągłymi a entuzjastycznymi okrzykami, które towarzyszyły każdej figurze ćwiczeń, a przy końcu zamieniły się w ogromną a ciepłą i serdeczną owację.

Następnie weszli na boisko Wielkopolanie. Stanęło ich 42 z naczelnikiem Gładyszem i prezesem Preisem. Weszli ze szatni wśród szpaleru, który im utworzył oddział Sokolic, a wśród okrzyku ogólnego i uniesienia. Nagle stanęli, — gdyż przeciwko nim stanęła pani Bilińska celem wygłoszenia przemowy powitalnej. Po kilku jednak wyrazach słowa ze wzruszenia ugrzęzły jej, oczy zaszły łzami, więc w milczeniu tylko, a milczeniu, które stoi za wiele przemówień, wręczyła im imieniem lwow. Sokolic bukiet z żywych kwiatów. Wzruszenie Sokolicy udzieliło się także i całemu olbrzymiemu tłumowi to też zapanował zapał, który trudno nawet opisać.

Rozpoczęły się ćwiczenia w formie igrzysk i ćwiczeń laskami, w których Sokolstwo wielkopol. złożyło dowód, że dla idei sokolej wytrwale pracuje. Zastęp cały ustawił się w formie krzyża, którego środek tworzył oddziałek wykonujący piękne figurki piramidowe.

Równocześnie poszło hasło między polskie Sokoły. — W jednej chwili znalazło się ich kilka tysięcy po za barjerami, otaczając zwartym w formie kwadratu szpalerem ćwiczących.

Po ukończeniu ćwiczeń stała się rzecz nadprogramowa, która jednak nastrojem i entuzjazmem stała się rzec można — punktem kulminacyjnym całego zlotu. — Oto naprzód wystąpiło kilka drobnych chłopaczków, obrzucając Wielkopolan kwiatami, a potem cały ten kilkutysięczny zastęp Sokołów rzucił się wartkim pędem w stronę Wielkopolan. W jednej chwili podniesiono wszystkich, cały ćwiczący zastęp na rękach do góry, i wśród grzmiącego okrzyku wyniesiono aż do szatni.

Chwila była takiego zapału i zbratania, że obecnym łzy stanęły w oczach, łzy czyste, radosne, które może choć w części przyszłość nam policzy na szali naszych nadziei.

Imponująco wreszcie wypadły ćwiczenia 520 Sokołów lancami, wśród których było 12 włościan z pod Krakowa w białych sukmanach i krakuskach. Pojawienie się polskich włościan-Sokołów

wywołało wielki entuzjazm, witano ich gromkiemi oklaskami.

Na tem zakończyły się niewidziane dotąd sokolskie ćwiczenia.

Pierwszy dzień zlotu zakończyły: uroczyste przedstawienie w teatrze, wieczorek muzykalno - deklamacyjny w gmachu „Sokoła" i raut u prezydenta miasta.

Kilka słów jeszcze o boisku. Znajduje się ono na t. zw. Cetnarówce, u stóp parku łyczakowskiego. Imponuje rozmiarami i całem urządzeniem. Obszar obejmujący 4 morgi, podarowała gmina miasta Lwowa w roku 1895, a ponadto przyczyniła się 2000 koronami do jego urządzenia. Samo boisko przedstawia płaszczyznę, otoczoną od wschodu-północy i południa amfiteatralnym nasypem, na wzór olimpijskiego. Od zachodu, tworzy czwarty bok ujeżdżalnia z budynkami oddziału konnego. Boisko może pomieścić wygodnie 6000 widzów i 2500 ćwiczących.

* * *

W drugim dniu Zlotu odprawił ks. prałat Lenkiewicz w obecności całej drużyny sokolskiej i tysięcy publiczności o godzinie 10 i pół przed południem mszą polową, poczem wygłosił do zebranych dłuższą mowę. Związek



Karol Rzepecki, Poznań,
sekretarz Związku Sokołów w Niemczech,

Sokołów polskich — powiedział mówca — przetrwał bez szwanku ogniowy czas próby, rósł ustawicznie, rozwijał się i potężniał z roku na rok, stwierdzał coraz dobitniej swoją żywotność i patrzy z otuchą obecnie w przyszłość, kiedy już liczy zwyż 10,000 członków, a przychowuje sobie świeże hufce druhów w tej kilkunastotysięcznej młodzieży szkólnej, która odbywając ćwiczenia w sokolniach i na boiskach, jednocześnie uczy się cenić i kochać ideę sokolą. Przyczyna tego powodzenia tkwi w tem, że sokolstwo polskie podjęło myśl zdrową i dobrą drogą kroczy ku jej urzeczywistnieniu, że dbając o wzmożenie sił fizycznych, nie mniejszą uwagę poświęca urobieniu charakterów, że pragnie dostarczyć społeczeństwu ludzi o spiżowym charakterze. Oprócz tego celu przyświeca Sokołom polskim jeszcze inna, jaśniejsza, promienniejsza gwiazda, a jest nią szczery, jak złoto, patryotyzm. I to jest największa chluba naszego sokolstwa i najistotniejsza przyczyna jego powodzeń. A ponieważ powoduje się szczerym patryotyzmem, sokolstwo



Wiktor Gładysz, Poznań,
naczelnik Związku Sokołów w Niemczech.

polskie pragnie, aby jego miłość Ojczyzny była koniecznie święta. Bo wartość tego uczucia, jak każdego innego względna, jak i od tego zależy, w jakiem mieszka sercu, jakiem rządzi się prawem, jakiem dozorowane jest sumieniem. Ono — jak świadczy najświeższa historya — może niestety wyrodzić się w dzikie, barbarzyńskie instynkty, któremi nikczemnieją i giną narody. A zatem poddać je trzeba pod jarzmo religii, aby patryotyczne uczucie, zamiast budować, nie przeistoczyło się w siłę burzącą. Na tem miejscu niech mi wolno będzie publicznie dać świadectwo prawdzie, że polskie sokolstwo nigdy i nigdzie nie sprzeniewierzyło się kościołowi, owszem przy każdej sposobności stwierdza swoje przekonania katolickie.

Sokolstwo polskie dla tego właśnie, że ożywia je szczery patryotyzm, rozumiało dobrze, iż w obecnej dobie, niezwykle ciężkiej, nie tyle chwalebnych męczenników, ile raczej chętnych pracowników nam potrzeba. Sokoły nasze czynem służą ojczyźnie; słowem i przykładem budzą zainteresowanie się sprawą narodową w szerokich masach, uświadamiają je pod względem narodowym, słowem i przykładem uczą poświęcenia dla pospolitego dobra.

Nic tedy dziwnego, że sokolstwo polskie cieszy się uznaniem całego społeczeństwa i wszystkich warstw jego. Także duchowieństwo polskie widzi w druhach sokolich sprzymierzeńców swoich, przyjaciół swoich, najdroższych swoich braci. Więc jakkolwiek nie w imieniu duchowieństwa to jednak w najspokojniejszej z niem zgodzie składam w dniu dzisiejszym związkowi sokolemu serdeczne życzenia jak najpomyślniejszego rozwoju. Dalszej pracy, dalszym znojom i bojom niech błogosławi Bóg Wszechmogący."

Po wysłuchaniu tej podniosłej mowy, którą przytoczyliśmy w skróceniu, uszykowali się Sokoli w pochód i ruszyli o pół do 12-tej przy pięknej pogodzie: ulicą Łyczakowską, placem Bernardyńskim, pl. Halickim, ul. Halicką, koło katedry, ul. Kilińskiego, ul. Karola Ludwika, pl. Maryackim na ul. Akademicką.

Wszystkie te ulice i place przepełnione były publicznością. Okna i balkony pięknie przystrojonych domów zajęły panie z koszami kwiatów. Niezawodnie połowa mieszkańców Lwowa wzięła udział w uczczeniu Sokołów. Pochód otwierał oddział konnych Sokołów w liczbie 60, następnie szła muzyka, za nią honorowy pluton Sokoła,



Teofil Preis, Poznań,
wiceprezes Związku Sokołów w Niemczech i prezes „Sokoła" poznańskiego.

a za plutonem Czesi i Morawianie (około 700 głów) ze sztandarami, Chorwaci (24), Wielkopolanie (76), wreszcie Sokoli galicyjscy (przeszło 2000) wedle okręgów z muzykami i sztandarami. Zamykał cały pochód oddział konny.

Na całej drodze Wielkopolanie, Czesi i Chorwaci byli przedmiotem niesłychanie serdecznych owacyi. Publiczność wznosiła bez przerwy okrzyki, panie z balkonów i okien powiewały chustkami i rzucały kwiaty, słowem entuzyazm przybrał rozmiary, nieznane dotąd we Lwowie. Pochód trwał godzinę.

W salach i w ogrodzie Strzelnicy miejskiej zaroiło się wieczorem. Na-

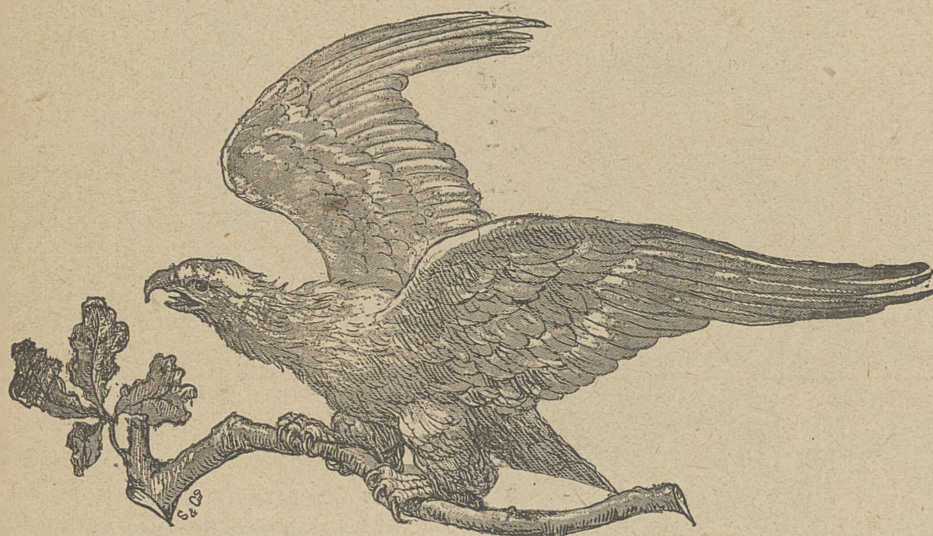
stąpiło tu ostateczne zebranie towarzyskie drogich gości. Przygrywały dwie orkiestry, ogród iluminowano lampionami a znany pirotechnik p. Rutkowski spalił wspaniałe ognie sztuczne. Początkowo spędzono czas na pogadance; w salach panował ścisk olbrzymi, później gdy przerzedziło się, nastąpiły przy dźwiękach kapeli narodowej tańce.

Nawoływania naczelników do odjazdu odciągnęły Sokołów od miłej zabawy.

Następnie kilka pociągów zabrało ze Lwowa zastępy Sokolstwa, którzy udziałem swym podnieśli znaczenie święta narodowego. Na pożegnanie ich wyruszyło na dworzec kilkuset miejscowych Sokołów.

Odjeżdżającym, mianowicie Wielkopolanom, zgotowano entuzyastyczne pożegnanie.

X.



## Czołem!!

*(Na Zlot Sokołów we Lwowie.)*

*I oto stanęły zastępy*
*Te polskie, te swojskie, te nasze,*
*Na próżno gromadzą się sępy,*
*By plemię wyniszczyć raz lasze.*
***Zlot** — naszej dziś siły dowodzi,*
*On wiary dodaje, otuchy!*
*Spojrzyjcie na cudny kwiat młodzi,*
*A dzielni, a zdrowi, a zuchy!*

*Lecz zdrowie, to tylko połowa*
*Dzielności w życiowej rozsterce,*
*Jej źródło w ich piersi się chowa,*
*Jej źródło — to polskie jest serce.*
*Jej siłą, co wszystko porusza,*
*Co ziemi wstrząść zdoła posady:*
*To zdrowa, sokola jest dusza,*
*Duch jeden tej całej gromady.*

*Duch jeden — on dla nich jest zbroją,*
*On słupem ognistym na drodze,*
*Pod jego rozkazem tam stoją*
*Żołnierze i starsi i wodze.*
*Duch jeden, cel jeden, myśl jedna!*
*Zórz dla niej czekają poranka...,*
***I Ona** im **wszystkiem** ta biedna*
*Ojczyzna! ta święta kochanka!*

*Nie biedna!! gdy takie ma dzieci!*
*Czas próby nie został stracony,*
*Jutrzenka nadziei już świeci*
. . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . .
***Patrz! otóż drużyna sokola,***
***Co wszystkie zapory pokona!***

*Więc **czołem** Wam, drodzy junacy!*
*Wam lepszej przyszłości szermierze!*
*Niech Bóg w tej pomaga wam pracy,*
*Niech w Swoją Opiekę was bierze!*
*W dniu **Zlotu**, w tym wielkim dniu święta,*
*Dziś **Ona** wam miłość swą wyzna,*
*Do piersi przyciska pisklęta*
*I — **Czołem!** — wam woła — Ojczyzna.*

*Śmigus.*



# Zabójstwo cara Piotra I.

*23. marca 1801 roku.*

(Z rękopisu wiarogodnego.)

Wielki książę Paweł, syn Katarzyny II. i Sołtykowa, od urodzenia miał dobre serce, bystry rozum, żywą wyobraźnię, i chociaż nie posiadał przyjemnej powierzchowności, przyciągał jednak otaczających go wielką słodyczą charakteru. Lecz spaczone wychowanie, tyloletnie uciemiężenie chciwej władzy matki zniszczyły zupełnie w zarodku wszystkie dobre przymioty. Katarzyna trzymała go ciągle w oddaleniu, nie dopuszczała do udziału w sprawach państwa i pozostawiała następcę tronu często w takiej potrzebie, że jego żona — jak w rodzinie Wadkowskich znajdujące się zapiski dowodzą — prosiła często o pożyczenie 25 lub 50 rubli na pierwsze potrzeby życia. Przydworni dla dogodzenia wyrodnej matce, która niecierpiała swego syna, pokazywali jawną wzgardę do niego, a Paweł widząc to, zaczął nienawidzić otaczających matkę, stał się rozjątrzonym za swą krzywdę, i rozjątrzenie to z czasem doszło do szaleństwa, do obłąkania. Takim go obaczyła Moskwa na tronie. Przed śmiercią Katarzyna chciała usunąć Pawła od tronu i ogłosić następcą ulubionego wnuka w. księcia Aleksandra. Akt był już tajemnie przygotowany za zgodą zbliżonych do Katarzyny ludzi, w których przyjaźń wierzyła carowa, i oddany do schowania vice-kanclerzowi hrabiemu Bezborodko. Carowa chciała akt ten ogłosić i nadać mu moc prawa na imieniny swoje 6. grudnia 1796 roku, zmusiwszy poprzednio Pawła zrzec się następstwa tronu. Lecz nie udało się jej przyprowadzić do skutku tego zamiaru.

Na dwa tygodnie przed imieninami, Katarzyna tknięta apopleksją umiera 17. listopada 1796 roku. Wice-kanclerz Bezborodko spieszy do Gatczyny do w. ks. Pawła i doręcza mu akt, który pozbawiał go tronu. Paweł wynagrodziwszy Bezborodkę tytułem księcia, mianowaniem go kanclerzem i darowaniem mu 9.000 dusz, poleciał do Petersburga, wydał manifest o wstąpieniu swojem na tron i nie spotkał w nikim najmniejszego oporu. Nie zważając na to, że ani wojsko, ani przydworni, ani arystokracja nie lubili go, wszyscy przysięgli nowemu carowi.

Będąc jeszcze wielkim księciem, Paweł stale mieszkał w Gatczynie (o 70 wiorstach od Petersburga), gdzie go otoczało kilku przywiązanych do niego ludzi i trzy niekompletne morskie bataliony, które oddane mu były pod do-

wództwo jako jenerał-admirałowi floty, którą nigdy nie dowodził. Oficerów do tych batalionów Paweł sam naznaczył według swego wyboru; a ponieważ nikt z wyższej szlachty nie chciał służyć u niego, więc oficerowie w tych batalionach byli ludzie, których w żadnym pułku trzymać nie chciano. Nazwano ich Gatczyńskimi, i miano to uważano za obelgę, za obrazę. Morskie bataliony były zabawką Pawła; on ich ubierał według formy wójsk Fryderyka II, uczył według pruskiej taktyki i z nadzwyczajną miłością oddawał się frontomanji. Paweł płakał z radości i uniesienia, gdy wojska dobrze maszerowały. Nie dowierzając nowym swoim poddanym, car rachował tylko na przywiązanie swych gatczyńskich oficerów. Wstąpiwszy na tron otoczył się nimi i obsypał ich nadzwyczajnemi nagrodami. Rangi, ordery, darowizna wielkich majątków, były udziałem tych nowych faworytów.

Wyższą rangą przeprowadziwszy gatczyńskich oficerów do gwardyjskich pułków, a prostych żołnierzy rangą podoficerów, Paweł rozkazał im uczyć gwardję według tego, jak sam uczył ich w Gatczynie. Gwardyjscy oficerowie, należący do bogatszych szlacheckich rodzin, uważali za obrazę, że ich oddano do nauki „Gatczyńskim‟, którymi oni zawsze pogardzali.

Rządy nowego cara wkrótce stały się bardzo ciężkimi, osobliwie dla klas wyższych, które w ciągu 34 letniego panowania Katarzyny, korzystając z ciągłych jej względów, przywykły nietylko do swobody, ale i do największej samowoli. Paweł nienawidząc matkę, nienawidził wszystko, to, co zaprowadzono pod nią; łagodny system rządu Katarzyny zastąpił systemem nietylko srogim, lecz okrutnym i niesprawiedliwym. Poniżając wszelkim sposobem szlachtę naruszał jej przywileje, karał cieleśnie, pozbawiał czci stawiąc pod pręgierz i wywoływał na Sybir bez sądu. Podejrzliwość Pawła wznowiła straszną, tajną kancelarję, mnóstwo ofiar cierpiało męki w jej norach.

Karamzin, pisząc historję ostatnich czasów, tak się wyraził o Pawle: „syn Katarzyny mógłby być srogim, a jednak zasłużyć na wdzięczność ojczyzny; ku największemu żdziwieniu Rosjan on pierwszy zaczął panować strachem; nie przyznając praw żadnych, oprócz swego widzimisię, uważał naród nie jako poddanych, lecz jako niewolników; karał bez winy, nagradzał bez zasługi; odebrał wstyd u kary, a przyjemność u nagrody; lekkomyślnie niszczył płody rządów matki, nienawidząc w nich — jej dzieło; zabił w wojsku szlachetnego i wojennego ducha, zamieniwszy go duchem kapralstwa; bohaterów, przyzwyczajonych do zwycięztwa, uczył maszerować, zniechęcił szlachtę do służby wojskowej; pogardzając duszą, szanował kapelusze i kołnierze; mając przyrodzoną skłonność do dobroczynności, karmił się żółcią złości; wymyślał codziennie sposoby, jak straszyć ludzi, a sam się lękał najwięcej; myślał zbudować sobie nieprzystępny pałac, a wybudował. grób.

Tyranja Pawła szczególnie straszyła obie stolicy i otaczających go ludzi. Nikt ze znajdujących się na służbie nie był bezpieczny; wszystkim był straszny gniew cara. Nikt w tem dziwacznem , despotycznem panowaniu nie mógł być pewnym, że go bez winy nie wypędzą ze służby, nie zhańbią, nie wsadzą do fortecy, nie odeszlą na Sybir. Tysiące uległo temu losowi w czteroletniem panowaniu Pawła i wielu potem po śmierci cara nie można było nawet odszukać w Sybirze, bo przy zsyłaniu poprzemieniano z rozkazu Pawła ich nazwiska.

W te ciężkie dla moskiewskiej szlachty czasy, nie posiadająca żadnych praw większość ludności, na całej przestrzeni cesarstwa, była zupełnie obojętną do tego, co się działo w Petersburgu: do niej nie odnosiły się surowe rozkazy, groźne szlachcie. Lud prosty nawet lubił Pawła, bo 1798 roku car wydał rozkaz, żeby chłopi pracowali tylko trzy dni w tygodniu dla panów, a trzy dni dla siebie, i żeby we wszystkie większe święta ich nie posyłano na roboty. Okropność tyranji Pawła dała się we znaki osobliwie Petersburgowi.

Taki nienaturalny stan rzeczy nie mógł ciągnąć się długo; cierpliwość musiała pęknąć i ogólne nieukontentowanie, wzbudzone tyranją i szaleństwem cara, zrodziło spisek przeciw niemu, w którym przyjęli udział przybliżone i wyniesione przez niego osoby.

Długo mieszkając w Petersburgu, osobiście znałem kilka osób, które należały do spisku; słyszałem wiele razy opowiadania szczegółów tej katastrofy, które były mi dokładnie wiadome, chodziłem sam w te pokoje, które zajmował Paweł w Michajłowskim pałacu i do jego sypialnego pokoju, widziałem sekretne schody, po których chodził car do kochanki swojej księżnej Gagarinoj, urodzonej Łopuchinoj; więc dokładnie mogę opowiedzieć śmierć Pawła I. i z największemi szczegółami.

Do spisku przystąpiło przeszło 60 osób, oprócz gwardyjskich oficerów, którzy nie należąc do niego wiedzieli o jego egzystencyi, lecz z nienawiści do Pawła gotowi byli pomagać spiskowcom do wypełnienia celu. Na czele spisku stali: S. Petersburski wojenny gubernator Fon der Palen, wice-kanclerz hrabia Panin, książę Platon Zubow, hrabiowie Waleryan i Mikołaj Zubowy, jenerał Benigsen i Tałyzin, adjutant Pawła pułkownik Argamakow etc. etc. W liczbie spiskowców oprócz wojskowych było wiele cywilnych osób.

Duszą spisku i głównym jego kierownikiem był hrabia Palen, jeden z bardzo rozumnych ludzi, śmiały, odważny, z charakterem przedsiębiorczym i niewzruszonym. Urodzony w Kurlandyi, Palen jeszcze za Piotra III. wstąpił do moskiewskiej służby jako oficer konno-gwardyjskiego pułku. Pod panowaniem Katarzyny II. ze wszystkich sił pracował nad połączeniem Kurlandyi z Moskwą i polubił całą duszą nową ojczyznę swoją, jak Niemcy zwykle lubią tę ziemię, gdzie im dobrze. Ze strachem patrzał Palen na szalone postępki Pawła, na niestałość jego przyjaźni i na zmienność zewnętrznej polityki, szkodzącej interesom cesarstwa.. Paweł, wróg francuzkiej rewolucyi, gotowy na wszelkie ofiary dla jej zburzenia, zagniewawszy się na przewrotność polityki austryackiego dworu, któremu zupełnie sprawiedliwie przypisywał rozbicie jenerałów Rzymskiego, Korsakowa i Suwarowa w Szwajcaryi, i Hermana w Holandyi, raptownie zmienił swój polityczny system i nietylko pogodził się z pierwszym konzulem Rzeczypospolitej francuskiej, który zgrabnie umiał pochlebić jego miłości własnej, wypuszczając zabranych w niewolę moskiewskich żołnierzy, lecz stał się nadzwyczajnym czcicielem Napoleona Bonapartego i groził wojną Anglii. Rozerwanie przymierza z tem państwem przyniosło nadzwyczajną szkodę moskiewskiemu, zagranicznemu handlowi. Anglia dostarczała Moskwie manufakturne i kolonialne towary w zamian za surowe wyroby z ziemi. Ten handel odkrywał jedyną drogę, którą przypływało wszystko, co było potrzeba Moskalom. Szlachta była pewną otrzymania dochodów ze swoich majątków, wysyłając za morze masztowe drzewa, zboże, łój, konopie, len itd. Zerwanie stosunków z Anglią, naruszając materyalne interesa szlachty, powiększyło i bez tego silną nienawiść ich do Pawła.

Myśl pozbycia się Pawła jakimkolwiek sposobem stała się ogólną. Hrabia Palen, niezbyt wybredny w wyborze środków, postanowił doprowadzić ją do skutku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



## Sokół i Sokolica.

*(Na Zlot Sokołów we Lwowie.)*

*„Sleczynki, sleczynki,*
*Sokolice lube,*
*Przybyłyście do nas*
*Na Lechitów zgubę!*

*Przybyłyście do nas*
*Dzieweczki kochane,*
*Na tęsknicę naszą,*
*Na serdeczną ranę!*

*Jako chwile krótkie*
*Dni szczęśliwe miną*
*I rozstać się trzeba*
*Z miluchną dziewczyną.*

*Ulecisz ptaszyno*
*Ojczystym swym szlakiem...*
*Czy poślesz myśl czasem*
*Za druhem Polakiem?*

*Czy twoja twarzyczka*
*Się żywiej zapłoni,*
*Gdy ujrzysz znak Orła*
*Przy znaku Pogoni?“*

*Zabłysła perełka*
*W źrenicy dziewczęcej,*
*Druh odgadł z niej wszystko —*
*Nie pytał już więcej.*

*k. z.*

## Ze wspomnień starego żołnierza (z r. 1831)

**Pułkownika Mikołaja Kamienskiego.**

W pierwszym pułku ułanów mieliśmy przed wojną oficera, lubianego przez kolegów, bo był dobry i towarzyski. Rodem z Litwy, zwał się P..... Pierwsze wypadki wojenne odkryły w nim jednakże strony, których niepodobna nam było poznać w czasie pokoju. Huk strzałów armatnich, gwizd kul przerzedzających szyki, a nawet odgłos komendy: „zamknij szeregi!“ tak silnie działały na jego nerwy, że dostawał rodzaju febry, po niemiecku „kanonenfieber‘ zwanej; cofnął się poza front i przez cały ciąg bitwy drżał jak liść. Gdy symptomaty te powtórzyły się razy kilka, oficerowie, znając skądinąd jego charakter wszelkiego godny szacunku, w najwyrozumialszy i najdelikatniejszy sposób dali mu do zrozumienia, że dłużej w pułku pozostać nie może, bo daje zły przykład żołnierzom. Wyrazili mu przytem, że jako dobry Polak, może inny znaleść sposób służenia ojczyźnie. P. do woli kolegów się zastósował i znikł nam z oczu; przez kilka miesięcy nie słyszeliśmy o nim wcale.

O P. zapomniałem był zupełnie.

W tem pewnego dnia, w czasie pobytu mego pod Płockiem (po wzięciu Warszawy), rano po raporcie i wykomenderowaniu obozowej służby, wchodzi do mnie podoficer z placówki; donosi że rzeźnik jakiś, czy handlarz świń żąda widzieć się ze mną. Wychodzę więc z namiotu i widzę przed sobą człowieka niewielkiego wzrostu, barczystego, przyodzianego w dobrze podszarzaną niebieską kapotę; spodnie miał płócienne zapuszczone na buty; trzos u pasa i kij sękaty w temblaku. Lewa ręka zajęta była trzymaniem sznurka, na którym uwiązana świnia, którą przed sobą popędzał.

Gdym się zbliżył, wieprzarz z widocznem ukontentowaniem na twarzy i w głosie:

— Jak się masz Kamiński!... zawoła.

Zdziwiło mnie nie mało to powitanie i tak poufała znajomość tego rzeźnika; on jednak, nie czekając dalej, znowu się odzywa:

— Jakto? Nie poznajesz kolegi? jestem P.

Przypatrując się bliżej, poznaję rzeczywiście i, nie mogąc się od śmiechu powstrzymać, zapytuję:

— Jakich wypadków koleją świniarzem zostałeś?

— Wytłumaczę ci to zaraz, odrzekł.

Mówię mu więc: — Przywiążże świnkę do drzewa i chodź ze mną do namiotu.

Podoficera odesłałem do posterunku, a szyldwachowi przed namiotem polecam, by nikogo do mnie nie wpuszczał. Świniarza P. zaś gościnnie do środka wprowadzam.

Gdy już był we cztery oczy ze mną, P. wydostał z ucha malutką karteczkę w wełnę zawiniętą i dał mi ją do przeczytania. Na karcie było drobniutkiemi napisane literami: „Poleca się władzom i posterunkom wojskowym nieść oddawcy niniejszej karteczki wszelką pomoc i opiekę‘‘. Podpis: „Szef sztabu głównego N. N.“

— Musisz mnie zatem, — rzekł P. — kazać zaraz przeprawić za Wisłę.

— Dobrze, dobrze, ale ty znowu musisz zjeść ze mną wprzódy śniadanie. Nakarmiemy twoją świnkę i ty mi opowiesz twoje przygody.

On się zgodził a ja dodałem:

— Bo teraz przyznać ci muszę, że masz stokroć więcej odwagi za nas wszystkich, którzy się mniej więcej śmiało narażamy na otwartem polu na strzały armatnie i karabinowe, na pociski lanc i pałaszowe razy. Żaden z nas by niepotrafił tego, co ty czynisz.

Z wiktuałów u nieprzyjaciela zabranych kazałem przynieść dobre śniadanie, przy którem opowiedział mi P. że od chwili, w której był zmuszony pułk opuścić, trzy razy już odbył podróż do nieprzyjacielskich obozów, i że teraz czwarty raz już się tam udaje.

— Jakże ty to robisz? — zapytałem.

Ah! to nic łatwiejszego — odpowiedział. — Przeprawią mnie z moją świnką za Wisłę, ja zmierzam prosto ku rosyjskiej armii. Na pierwszych nieprzyjacielskich posterunkach, żołdactwo świnkę mi odbierze i naturalnie zje. Ja zacznę płakać i narzekać, wmawiając, że mam żonę i dzieci, że świnkę kupiłem w pobliskiem miasteczku, że to cały mój majątek. Żołdacy wyśmiewać się poczną z mojej biedy; oficerowie będą zatykać uszy, a ja — idąc wciąż naprzód i skarżąc się nieustannie, dostaję się aż do ich starszyzny. Tam znajdzie się zawsze jakaś poczciwa dusza, co mi zjedzoną świnkę zapłaci i odprawią mnie dalej. W pierwszem miasteczku po drodze, kupię nową świnkę i w dalszą odprawię się podróż. Do tych wędrówek jednego mi tylko potrzeba: dokładnej wiadomości o miejscowych targach, jarmarkach i położeniu kraju, w którym mniemaną obieram siedzibę... Skoro na tym punkcie nie dam się poplątać, wszystko inne idzie jak po maśle. Do tej pory patryotyzm burmistrzów i gmin był mi w tym względzie niezmiernie pomocnym.

Po śniadaniu wyprawiłem P. w drogę, a sam począłem się zastanawiać nad rozmaitemi rodzajami odwagi. Dopiero wtedy zrozumiałem, że co innego jest odwaga wojskowa a co innego odwaga konspiratorów, spiskowych, emisaryuszów, lub tego rodzaju Cooperowskich szpiegów, jak P. Jest oprócz tego, jeszcze odwaga cywilna i rzadko kiedy te trzy odwagi w jednym schodzą się człowieku. Cywilna i wojskowa, połączone, stanowią moc i siłę naczelników narodów. Odwaga spiskowych i emisaryuszy bywa wyłączną; ale, wsparta cywilną, staje się bohaterstwem męczenników wiary i patryotyzmu.

Rzeczywiście, bo też niezwykłym trza gorzeć ogniem patryotyzmu, by stać się takim, jak P.... tchórzem...



## Chorąży.

Chorągiew! Trzymać się chorągwi! Ostrzem szabel, strzałami broni palnej, grenadjerzy marszałka Lannes torowali sobie drogę wśród ulic Esslingu.

Ochrypły głos powtarzał ciągle:

— Za sztandarem! Śmiało! Mas-

souille! Baczność! Czterech naciera na ciebie!

Komendant wspiął konia ostrogami, przesadził trzech ludzi i nadbiegł z pomocą chorążemu, lecz huragan wrogów uniósł go w inną stronę.

— Baczność! Za mną! Kapitanie ściskać szeregi!... Odważnie! Na bagnety!...

Grenadjerzy rzucili się naprzód, słyszano wciąż głos komendanta:

— Massouille! Massouille!

— Gdzie jesteś, Massouille? Trzymaj dobrze, nie puszczaj sztandaru! To ja twój dowódzca? Nie puszczaj! Powiem cesarzowi jakeś stawał!

— Jestem! rozległ się znowu ten sam głos tuż przy chorągwi.

— A, psy jakieś! Massouille! Zawróć się,do licha! i daj im jak przystało na ciebie... ot tak, dobrze! A teraz do mnie z orlem!

Massouille nie słuchał.

Pozostał. Jedną ręką trzymał sztandar, na którego drzewcu lśnił dumnie w słońcu orzeł cesarski, drugą wznosił z szablą do góry — gdy spuszczał — wróg padał trupem...

— Massouille! — strofował komendant. — To nie dla ciebie robota! Nie masz prawa narażać orła! Złożę raport cesarzowi. Wracaj natychmiast!...

Massouille nie dosłyszał rozkazu. Wyprostowany wśród bojowego zgiełku, otoczony strażą chorągwianą, złożoną z czterech żołnierzy z lancami, powiewał wśród gradu kul wielkim swoim sztandarem.

Wszystkie uliczki drżały, miasto lada chwila mogło być odebrane, walczono na wszystkie strony, nadeszła chwila wysunięcia się naprzód.

— Massouille! Massouille! Massouille! Przypomnij sobie, że pod Marengo byłeś sierżantem pod mymi rozkazami! Baczność! Pilnuj orła! Ale do kroćset djabłów! nie widzę go już na miejscu... Tak!... Niema go! do kroćset!

Massouille nie słuchał.

Z twarzą białą, jak u dziewczyny, nawpół odarty, parł się naprzód z bronią wzniesioną, znacząc trupami każdy krok, w końcu jednak, widząc się otoczonym przez wrogów, przystanął, by lepiej walczyć.

Rękę silną miał jak taran, ludzie padali jak muchy pod uderzeniami jego szabli.

Strzał zerwał mu kask z głowy, drugi ugodził w szyję tak, że po białej piersi spływała krwawa wstęga.

Rzucono się go ratować.

— Massouille, chcesz zginąć! Co za szaleniec! Na prawo! Strzeż się! Baczność! Pilnuj sztandaru.

I komendant poskoczył ku chorążemu, lecz nowa masa wrogów nadpłynęła i oddzieliła Massouille'a od grenadjerów; walka zawrzała na nowo; nareszcie ostatnie przedmieście zdobyto.

— Massouille! mój przyjacielu! — wołał komendant.

Szukał go spojrzeniem, napróżno!

— Orzeł! Szukać chorążego! Sztandar! Na miłość Boga, sztandar!

Austrjacy pierzchali, teraz rozległ się głos bębnów. Massouille ukazał się... w jednym ręku trzymał trójkolorowe drzewce sztandaru — drugą jeszcze siekł od czasu do czasu, na lewo i prawo.

Spotniałe włosy opadały mu na rozpromienione oblicze, głosem, który się echem odbijał po pustych domostwach, dobywał z piersi okrzyk na cześć cesarza i posuwając się tak środkiem ulicy wydawał się prawdziwym tryumfatorem dnia!

Zaprowadzony na kwaterę, znikł jednak niebawem, towarzysze napróżno szukali go do późnej nocy.

— Gdzie chorąży? wypytywali rannych.

Nikt nie odpowiadał. Dziewiąta biła, Massouille nie zjawił się.

Późno dopiero nocą wysunęło się z jednego domu pięciu ludzi, księżyc oświetlał ziemię zasianą trupami, Massouille szedł na przodzie.

Był ponury, szyję obwiązał był dużą szmatą, a w dłoni wznosił przesławny sztandar, poszarpany, podziurawiony od kul, ale bez orła!

Bez orła... sztandar już nie miał orła! jakaś przeklęta kula zabłąkana musiała go oderwać, a chorążego rozpacz ogarnęła, gdy spostrzegł, co się stało.

— Komendant miał słuszność, powinienem był pilnować...

I szedł naprzód.

— Hej! Co to? widzisz?

Zapytany wzruszył ramionami:

— To nasz towarzysz... Nöel, dawny mój brygadjer z 10-go pułku.

— Trzeba iść powoli — rzekł Massouille. — Dalej podnieście mi to...

Cztery lance pochyliły się i odrzuciły dwóch trupów...

— Czyś go poznał? to Chassard!

— Tak, a ten drugi to Trontier.

— Szukajmy i obok nich. — Wołał ciągle gorączkowo dowódzca gromadki.

Pochylili się nad miejscem, w którem przed chwilą leżały trupy — ale nie znaleziono nic na bruku.

Zlustrowali w ten sposób całą ulicę, dwustu może poległych poruszono, ale orla nie było nigdzie.

— Albo kula, albo cios szabli zmiótł mi go z drzewca. Co powie cesarz? Co ja zrobię teraz bez orła? Co znaczy sztandar bez orła!

On zobaczy to jutro i co *On* na to powie?!

Straż jęła grzebać znowu śród poległych.

— Widzisz, Grimard — rzekł któryś z żołnierzy.

— Judt, Lerocher! — rozpoznawali trzej towarzysze.

— Szukajmy, szukajmy! — wołał Massouille.

Wściekła złość go ogarnęła:

— Nie, to niemożliwe, powiadam wam! Chorąży stracić nie ma prawa orła! I czemże będę ja Massouille, którego nazywali „jeden na dziesięciu,“ jeżeli nie odzyskam straty. Bo niema go! a był dziś rano przecie na drzewcu!

— I co On powie na to!

Pochylił się.

— Dowódzca...

W świetle księżyca żołnierze ujrzeli bezkształtną okrwawioną masę, był to pułkownik. Poległ wraz z innymi.

— Zostawcie go — zakomenderował chorąży. Jutro bitwa! Jeżeli nie znajdę orla — roztrzaskam sobie czaszkę...

Rzucił się nagle ku ziemi z ręką wyciągniętą, lecz to było tylko złoto, które rozsypało się z czyjegoś rozerwanego woreczka — nie jego zguba.

W milczącem porozumieniu podzielili się niem żołnierze.

— Mój orzeł! Mój orzeł!...

Zdawał się tracić rozum, idąc, potrącał nogą poległych wrogów, niektórzy z nich żyli jeszcze, z piersi ich wyrywał się tłumiony krzyk, przekleństwo czasem — poczem opadali martwi.

Nagle coś potwornego zerwało się z nad krwawych ciał, otoczyło ich wiatrem i świstem. Żołnierze cofnęli się z krzykiem.

— Ha, drapieżce! — wrzasnął po chwili Massouille — za mną w pościg!

I rzucił się z szablą w dłoni, a za nim podążyli towarzysze.

Po chwili cisza zapanowała w mieście — pozostały tylko noc, trupy i śmierć.

Błysnął dzień 22-go maja.

Od świtu grzmiały armaty, głosząc walkę. Cesarz miał trzy pierwsze dywizje Masseny w Aspern, a kwaterę w Essling, bronioną przez korpus Lannes'a. Pomiędzy temi dwoma miejscowościami rozstawiona była jazda Bessieres'a.

Gwardja cesarska powstrzymywana w zapasie, jak sfora ogarów na uwięzi, pomrukiwała, rwąc się do boju.

Napoleon doglądał wszystkiego osobiście.

Arcyksiążę ponowił wczorajszy

atak; chciał przerwać linję między Essling a Aspern.

Dywizja kirasjerów spadła na wroga, Massena krzyknął:

— Grenadjerzy! Tam się bawią bez nas! — i ruszył; gwardja, spuszczona ze smyczy, runęła na Austrjaków — i armja arcyksięcia została w okamgnieniu rozbita.

— Na ciebie kolej, Lannes!

Marszałek ruszył uroczystym marszem, wspaniale... jak zwykle. Na czele szła brygada Massouille'a, a na przedzie on sam, jeden z bohaterów dnia wczorajszego.

Zdawało się, że to sama śmierć zbliża się, spokojna, olbrzymia — już miano zewrzeć się z wrogiem, gdy nagle, wśród idących do szturmu szeregów francuzkich zawrzało, krzyk wzbił się pod obłoki.

Głowy się podniosły... zapał, jak huragan, wstrząsnął pułki, siejąc wrzawę, zamieszanie!

Potężny, głuchy przeraźliwy wrzask, co mroził serca, podnosił włos na głowa[illegible]h, rozrywał pierś, rozległ się nad armją [illegible]otem błyskawicy, obiegł wzdłuż i wszerz[illegible]...

To Massouille [illegible]się ukazał!

Straszny w unies[illegible]ieniu, porwany wewnętrznym ogniem, z [illegible]ękoma wzniesionemi do góry, powiewał [illegible]ku Austrjakom dziwnym sztandarem!

Okrzyki zdławione, przeszy[illegible]wające wydawał wielki żywy orzeł, poj[illegible]any w nocy przez żołnierzy chorążego [illegible]i przywiązany nad sztandarem zamiast cesarskiego orła z bronzu.

Królewski ptak, oszalały wrzawą bitwy, wydawał także okrzyk wojenny! I ruchem zdobywcy rzucił się w stronę nieprzyjacielskich szeregów, ciągnąc sztandar postrzępiony, wskazując bataljonom i pułkom drogę zwycięstwa.

*T. K. L.*



# Listy żołnierza.

*(Wspomnienie z 1863 roku.)*

I.

„Matko moja! gdym jechał na wojnę,
Tyś krzyż Pański dała mi na drogę,
Jam ci mówił: „„Miej serce spokojne,
Ja się sprawię w tej walce, jak mogę,
Nie zawstydzi się twój syn jedyny,
Imię ojca nosić będzie godnie;
Będziesz miała odemnie nowiny,
Będziesz miała co cztery tygodnie.“
Przebiegł miesiąc — szlę ci wieść radosną
Matko moja! dzięki Bogu! dzięki!
Nad Moskalem, co padł z mojej ręki,
Już dziś oset, chrzan i chwasty rosną;
Tak się wprawdzie Bogu spodobało,
Żebym dostał.... bagnetowe pchnięcie...
Pchnięcie?... gdzie tam!... ranę tylko małą...
Ranę?... co znów? — maleńkie draśnięcie,
Krwi mi trochę upłynęło czystej,
Krwi ojcowskiej i krwi twojej, matko;
Cóż to znaczy?... To dobrze!... Jam krwisty,
Twarz mieć będę piękniejszą i gładką,
Wszak mój ojciec przed trzydziestu laty,
Gdy z kosami ruszał na armaty,
Z pierwszej bitwy też nie wyszedł cało,
A twe serce później go wybrało.
Za dni parę znów stanę do boju.
Na list przyszły zaczekaj miesiąca....“

Odczytała matka w niepokoju...
Z ócz jej zgasłych spadła łza gorąca.

II.

„Matko! matko! co za wieść szczęśliwa!
Ledwie miesiąc upłynął od listu,
A znów Moskal w wąwozie spoczywa!...
Ich tysiące, a nas było trzystu!
Biliśmy się! takiej bitwy rzadko!
Krew płynęła i wrogów posoka,
Mój dowódzca mnie nie spuszczał z oka
I po bitwie przyszedł do mnie... Matko!
I dłoń podał i ścisnął i chwalił,
I dziękował... Bo wróg gdy weń mierzył,
Jam go kosą tak tęgo uderzył,
Że pod konia zabity się zwalił.
Czyn mój mały — modłom twoim dzięki!
Stał się głośnym i chwałą promiennym,
Syn twój matko dotknął wodza ręki,
Sy[illegible]n twój matko jest w rozkazie dziennym!

Wpraw[illegible]dzie rana.. eh!... kontuzja mała..
Na list p[illegible]rzyszły czekaj do miesiąca...“

W niepokoju [illegible] matka odczytała...
Z ócz jej zgasły[illegible]ch spadła łza gorąca.

III.

„Dobrze idzie! matko moja droga,
Dobrze idzie! dobrą masz nowinę,
Walcząc za kraj i za chwałę Boga,
Nie zginęło dziecko twe jedyne.
Stwórca siły użycza ramieniu
I zaostrza stal wieśniaczej kosy,
Znowu Moskal przy drożnym kamieniu
Legł śmiertelny pod moimi ciosy!
Jam się dobrze spisał i wytrwałem
Walczył ciągle w najmężniejszych rzędzie...
Matko! syn twój jest już dziś kapralem,
A niedługo oficerem będzie.
Tylko trzeba wytrwać do ostatka...
Na list przyszły czekaj...“

Olejąca,
W niepokoju list czytała matka...
Z ócz jej zgasłych spadła łza gorąca.

IV.

Czwarty miesiąc nie upłynął jeszcze,
Biedna matka drżała w niepokoju,
I płakała... a wieści złowieszcze
Nadchodziły ciągle z placu boju.
Raz wieczorem, gdy dzwony niesporów
Do świątyni wiodły dzieci Boże,
Poszła zanieść modlitwę w pokorze
Za jedynym co walczył wśród borów,
By go niebo strzegło od rozbicia...
I w modlitwie niemej zachwycona,
Wyciągnęła do krzyża ramiona,
Wyciągnęła i padła bez życia.
Jej powieki zwarły się dla ziemi;
Lecz się rozwarł świat inny przed niemi,
I w tym nowym, w tym szczęśliwym świecie,
Zobaczyła w bieli swoje dziecię.
Syn jej upadł przed nią na kolana
I zawołał: „O matko kochana!
Trzy miesiące tutaj już czekałem
Przebaczenia... Przebacz!... ja kłamałem!...
Miałżem serce krwawić matce drogiej?
Pchnięcie, awans i zabite wrogi,
I śmierć twego jedynego syna,
To był jeden dzień, jedna godzina!
Mógłżem przenieść myśl o twoim żalu?...
Chciałem umrzeć, lecz bez twojej wiedzy...
Listy moje skreśliłem w szpitalu,
A przesłali poczciwi koledzy.
Dziś już tutaj na przedsieniu nieba
Stoją wszyscy z mojego plutonu,
Ciebie tylko czekać było trzeba,
Ty nas prowadź do Bożego tronu.“

*Wł. Sabowski.*



# Walka byków.

WSPOMNIENIA Z HISZPANII.

Napisał Henryk Sienkiewicz.

Niedziela!

Wielkie afisze, porozlepiane od kilku dni na rogach Puerta del Sol, Calle Alcalla i na wszystkich ruchliwszych ulicach, oznajmiają miastu, że: *„si el tiempo lo permite,“* w dniu dzisiejszym odbędzie się XVI corrida, w której, jako „espadas“, wezmą udział Cara-Ancha, Lagartijo i przesławny Frascuello.

Otóż, czas pozwala. Zrana padał deszcz, ale już około dziesiątej wiatr poszarpał chmury, pozbijał je w kłęby i przepędził gdzieś hen, w stronę Escorialu. Obecnie ustał i wiatr; niebo jak okiem sięgnąć, błękitne, a nad Puerta del Sol świeci jasne słońce, takie madryckie słońce, które nietylko grzeje, nietylko pali, ale niemal kąsa.

Ruch w mieście zwiększa się, a na twarzach widać zadowolenie.

Godzina druga.

Rynek Puerta del Sol opróżnia się stopniowo, natomiast przez Calle Alcala ciągną w stronę Prado tłumy ludzi. Środkiem płynie rzeka dorożek i karet Cały ten orszak powozów porusza się bardzo wolno, bo chodniki nie mogą pomieścić pieszych; mnóstwo ich idzie bokami ulicy i tuż koło pojazdów. Żandarmi na białych koniach, przybrani w okazałe mundury i stosowane kapelusze, pilnują porządku.

Znać niedzielę i godzinę popołudniową; ubiory są staranne, nastrój świąteczny; znać także, że tłumy ciągną na jakieś ciekawe widowisko. Na nieszczęście, tłum nie jest różnobarwny. Nie widać tu narodowych strojów, krótkich kaftanów, żółtych chustek a la contrabandista, ze spuszczonym końcem na plecy, ni krągłych baskijskich kapeluszy, ni pasów, ni katalońskich nożów za pasem.

Można to jeszcze widzieć w okolicach Grenady, Sewilli i Kordowy, ale w Madrycie, zwłaszcza w dnie świąteczne, kosmopolityczny surdut przeważa. Czasem mignie tylko czarna mantyla, upięta na wysokim grzebieniu, a z pod tej osłony czarniejsze jeszcze oczy.

Wogóle twarze są śniade, spojrzenia bystre, rozmowa głośna, nie tak zapalczywa, jak we Włoszech, gdzie, gdy się człowiek śmieje, to wije się jak wąż, a gdy się gniewa, to zjada daszek własnej czapki — ale jednak żywa i energiczna. Oblicza mają tu rysy ostre i wyraz stanowczy. Łatwo zrozumieć, że nawet w zabawie lud ten zachowa sobie właściwy, wybitny charakter.

Zresztą dnia powszedniego mają to być ludzie pełni spokoju, graniczącego z lenistwem, skąpi w słowa i skupieni. Ożywia ich niedziela i nadzieja ujrzenia krwawego widowiska.

Przecinamy Prado i wchodzimy w aleję, prowadzącą do cyrku.

Tłum zbija się jeszcze szczelniej. Tu i owdzie podnoszą się okrzyki. To lud wita pojedyńczych członków korrydy, którzy w rozproszeniu ciągną do cyrku.

Oto jedzie omnibus pełen „kapeadorów,“ tj. uczestników walki, mających za całą broń czerwone kapy, któremi będą uwodzili i drażnili byka. Przez szyby widać czarne głowy z harcapami, przybrane w trójkątne kapelusze. Różnobarwne kaftany kapeadorów wyszyte są srebrnemi i złotemi blaszkami. Jadą omnibusem, bo skromne ich wynagrodzenie, jakie pobierają za swą niebezpieczną służbę, nie pozwala im na okazalszy pojazd.

Dalej nieco przeciskają się przez tłum trzej konni pikadorowie. Słońce gra na ich białych, szerokokolistych kapeluszach. Są to mężczyźni atletycznej budowy, ale przytem chudzi i kościści. Wygolone twarze mają surowy i jakby skupiony wyraz. Siedzą na bardzo wysokich drewnianych siodłach, wskutek czego widać ich doskonale nad tłumem. Każdy z nich dzierży w ręku lancę, zakończoną drewnianą gałką, w której osadzone jest żelazne ostrze, nie dłuższe nad pół cala. Bronią taką nie może pikador zabić byka, może go tylko ukłóć lub osadzić przez chwilę na miejscu, ale w tym ostatnim razie potrzebuje mieć olbrzymią siłę w ramieniu.

Mimowoli, patrząc na nich, przypominam sobie illustracye Dorego do „Don-Kichota“. Jakoż każdy z tych jeźdźców mógłby służyć za model do rycerza „smutnej postaci“. Ta chuda sylweta, rysująca się twardo w błękicie, wysoko po nad głowami tłumów, ta stercząca do góry lanca — i ów jasno-kościsty koń pod jeźdźcem, ten czysto gotycki zarys żywych istot — wszystko to odpowiada zupełnie pojęciu, jakie wytwarzamy sobie o rycerzu z Manszy, czytając nieśmiertelne dzieło Cerwantesa.

Lecz oto pikadorowie mijają nas i rozpychając zwolna tłum, wysuwają się znacznie naprzód. Widać już tylko trzy lance, trzy kapelusze i trzy zahaftowane na plecach kaftany. Nadjeżdżają nowi, tak niezmiernie podobni do poprzednich, jak gdyby pikadorów odlewała według jednakowej formy na całą Hiszpanię jakaś fabryka. Różni się tylko maść koni, które zresztą jednakowo są chude.

Oczy nasze zwracają się teraz na długi szereg powozów. Niektóre zaprzężone są w muły, ale tak rosłe, piękne i błyszczące, że zaprząg mimo długich uszu rumaków, nie wydaje się śmieszny. Tu i owdzie dostrzedz można także andaluzyjskie konie o silnych grzbietach, wygiętych szyjach i hakowatych głowach. Podobne widzieć można na obrazach batalistów z XVII. wieku.

W powozach siedzi kwiat towarzystwa madryckiego. Ubiory czarne, dużo czarnych koronek na parasolkach, wachlarzach, na głowach kobiecych; czarne włosy poprzycinane w grzywki, z pod których spoglądają oczy, jak gdyby z lawy Wezuwiusza. Żałobne barwy, powaga i puder — oto cecha charakterystyczna tego towarzystwa.

Twarze kobiet starszych i młodszych zarówno są wytarte pudrem, zarówno białe i zimne. Szkoda wielka. Gdyby nie ów szpetny zwyczaj, cera ich miałaby ten przepyszny gorący ton, na który składają się południowa krew i południowe słońce, a który podziwiać można w twarzach, malowanych przez Fortuniego.

Na przednich siedzeniach powozów widać mężczyzn, ubranych z nieco przesadną wykwintnością; wyglądają oni sztywno i zbyt świątecznie, inaczej mówiąc, nie umieją nosić wytwornych ubiorów z tą swobodną niedbałością, jaka cechuje np. wyższe towarzystwo francuskie.

Lecz mury cyrku rysują się coraz wyraźniej przed nami. W architekturze ich nie masz nic szczególnego. Ogromna budowa, obliczona na to, by pomieścić kilkanaście tysięcy widzów — oto wszystko.

Ciekawszy jest ruch, który panuje pod murami. Naokół czarno od dorożek, powozów i głów ludzkich. Ponad tą ciemną masą, tu i owdzie, jeździec na koniu, żandarm, albo pikador wystrzela w swoich świetnych barwach ku górze, jak mak rozkwitły.

Tłum kołysze się, rozprasza i skupia, nawołuje; woźnice krzyczą; jeszcze głośniej krzyczą malcy, sprzedający programy; ci wciskają się wszędzie: między pieszych i konnych, na stopnie i między koła powozu, niektórzy wdrapują się na skarpy, cyrkowych murów, niektórzy stoją na kamiennych słupkach, znaczących drogę dla powozów. Ich kędzierżawe czupryny, błyszczące oczy, wyraziste rysy, smagłe twarze i rozchełstane na piersiach, podarte koszule, przypominają mi nasze cyganięta, a także i chłopców na obrazach Murilla. Niektórzy z nich sprzedają prócz programów świstawki. Dalej między tłumami widać przekupniów pomarańcz, „aguadorów“ z miedzianemi beczułkami na plecach; tu sprzedają kwiaty, tam słychać brzęk gitary, na której gra stara, ślepa kobieta, prowadzona przez dziewczynkę.

Ruch, wrzawa, śmiechy, wachlarze furkocą jakby tysiące skrzydeł ptasich, a na mrowie ludzkie, słońce zlewa potokami białe światło z głębokiego, bez jednej plamki błękitu.

Wtem ze wszystkich stron rozlega się okrzyk: „mira! mira!“ (patrz! patrz!) i po chwili zmienia się w grzmot oklasków, który nakształt prawdziwego grzmotu leci z jednego końca tłumów w drugi — to cichnie, to wzmaga się i roztacza naokół całego cyrku.

Co się stało? Zapewne przyjeżdża królowa z dworem?

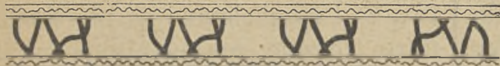
Nie! — w pobliżu słychać: „eviva Frascuello!“

To najsławniejszy „espada“ przybywa po laury i oklaski.

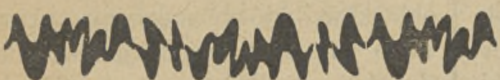
Wszystkie oczy zwracają się ku niemu, a cały tłum kobiet ciśnie się ku powozowi. W powietrzu poczynają migotać kwiaty, rzucane ich rękami pod stopy tego ulubieńca, tego bohatera wszystkich snów i marzeń, tej „perły Hiszpanii“. Witają go zaś tem goręcej, że wraca z podróży do Barcelony, gdzie w czasie wystawy wprawiał w podziw całą barbarzyńską Europę sztychami swej szpady, a teraz zawitał znów oto do ulubionego Madrytu, jeszcze sławniejszy, jeszcze większy — prawdziwy nowy Cyd el Campeador.

Przeciskamy się przez tłumy, aby obaczyć bohatera. Najprzód, co za powóz i konie! Piękniejszych nie masz w całej Kastylii. Na białych, atlasowych poduszkach siedzi, a raczej leży człowiek, którego wiek trudno odgadnąć, bo twarz ma wygoloną najstaranniej. Ubrany jest w kaftan z blado-liliowego atlasu i takież spodnie, sięgające do kolan, obszyte koronkami. Kaftan i boczne szwy spodni lśnią się i mienią od przepysznych haftów, od blaszek złotych i srebrnych, błyszczących w słońcu, jak dyamenty. Pierś jego zdobią najdelikatniejsze koronki. Nogi przybrane w jedwabne różowe pończochy, trzyma skrzyżowane niedbale na przedniem siedzeniu, a łydek mógłby mu pozazdrościć najpierwszy gimnastyk paryskiego hipodromu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



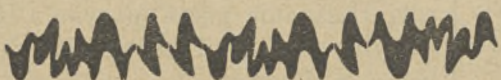


















# Wiadomości.

— **Folwark Brodzewko** (teraz Wiesenheim) tuż pod samem miastem Kiszkowem w powiecie Gnieźnieńskim, dworzec Pobiedziska, około 450 mg. obszaru pszennej ziemi I. klasy włącznie ca. 100 mórg przepysznych nawodnianych łąk, dotychczasową własność Niemca p. Hermanna Michael'a, nabył mocą kupna dom bankowo komisowy Drwęski & Langner w Poznaniu. Brodzewko składa się z dwóch kompletnie wybudowanych folwarków i będzie rozparcelowane pomiędzy swoich. Zastępca firmy odebrał już zarząd Brodzewka i chętnym kupna służy na miejscu wszelką bliższą informacyą.

Nabycie Brodzewka w parcelach zaleca się choćby już dla samego korzystnego położenia, zwłaszcza, że ziemie tegoż majątku dochodzą pod same miasto.

— **Trzech uczni** drukarni „Pracy“ złożyło w ubiegłą niedzielę przed komisyą procederową z zadowoleniem egzamin na towarzyszy sztuki drukarskiej. Są nimi panowie: Stanisław Banach, Józef Flisiak i Jan Wierzejewski. Szczęść im Boże w dalszej pracy!

— **Nr. 6 ty** „Kościelnego Dziennika urzędowego“ podaje następujące rozporządzenie Najprzew. Ks. Arcypasterza:

„Z powodu wiadomości o ciężkiej chorobie Ojca św., jaka nagle zatrwożyła i boleścią głęboką okryła wszystkie serca katolickie na całym świecie, uciekać się nam potrzeba w modlitwie do Boga, aby ocalić i przedłużyć raczył to drogie nam życie. W tej intencyi rozporządzamy, aby, skoro tylko pismo Nasze na jakiejbądź drodze dojdzie rządzców Kościoła, zgromadziwszy wiernych, przed wystawionym Najś. Sakramentem odprawili na intencyą Ojca św. mszą św., dołączając kolektę pro infirmo, oraz wspólnie z ludem odmówili litanią do Najśw. Serca Jezusowego. Litanię tę i kolektę będą odmawiać codziennie aż do powrotu do zdrowia Ojca św. Wszyscy zaś inni kapłani odprawią na intencyą Ojca św. mszą św. i dołączać będą we mszach św. kolektę pro infirmo. Wiernym poleci się gorące prywatne modły.

W Krobi, dnia 7. lipca 1903.

Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański.

† *Floryan*“.

— **Podziękowanie najserdeczniejsze** składamy za tak licznie nadesłane nam zblizka i zdaleka w dniu srebrnego wesela życzenia, upominki i kwiaty.

Poznań, 6 lipca 1903.

*Leokadya i Bolesław Rakowscy.*

— **Pan adwokat i notaryusz Cichowicz** z Poznania mianowany został radzcą sprawiedliwości. Jednocześnie mianowani zostali radzcami sprawiedliwości pp. adwokaci i notaryusze: Grądzielewski w Śremie, Hahn w Rogoźnie, Szafrański w Pobiedziskach oraz adwokat Pomorski w Ostrowie.

— **Pan Witold Leitgeber** sprzedał „Gazetę Ostrowską“ wraz z drukarnią panu Ronińskiemu z Ostrowa.

— **Egzamin doktorski** na wydziale nauk społecznych uniwersytetu monachijskiego zdał p. Bogdan Amrogowicz, dziedzic Rzeszynka.

— **Na Czytelnie ludowe** odebraliśmy 8,60 mrk. Sumę tę zebrano na ślubie p. Edmunda Piotrowskiego z panną Salomeą Jankowską w Słomowie pod Parkowem dnia 1-go b. m.

— **Do rodaków w kraju** Ksiądz Jan Sobalski prosi nas o ogłoszenie poniższego pisma:

„Nowy Jork, 335 Spring Street At Kellers, dnia 18 czerwca.

Szanowny Panie Redaktorze!

Bardzo wielu rodaków z kraju wysyła listy pod adresem Kościoła Polskiego w Nowym Jorku i prosi nas o informacye w sprawach czysto świeckich, o których my duchowni nie mamy żadnego pojęcia. Zapytują nas o ceny handlowe skór, maszyn itp. artykułów. Zapytują nas o krewnych; proszą o odszukiwanie osób bez adresu, wypytują o ich stan majątkowy, o spadki po zmarłych, o cenę pracy roboczej w tym lub owym Stanie. Pytania te są tak liczne, z Księstwa, Kongresówki i Galicyi, że czas nie pozwala nam nawet przeczytać ich uważnie, a cóż dopiero na nie odpowiedzieć. Księży Polaków jest tu bardzo mało, a parafian bardzo wielu. To też nie podobno nam zajmować się żadnemi innemi sprawami. Proszę bardzo wszystkie te osoby, które do mnie pisały, uważać list ten mój, zwrócony do wszystkich, za poszczególną odpowiedź dla siebie i wybaczyć mi, że prośbom ich zadość uczynić nie mogę. Tym zaś rodakom, którzy nie mają żadnych stosunków w Ameryce a potrzebują informacyi lub porady, podaję adres doktora praw Terzykowskiego, zamieszkałego pod nr. 100 East 7 a ulica w Nowym Jorku (United States). Pan Terzykowski, zdolny, uczciwy prawnik, a przytem obrotny i praktyczny, przysłuży się lepiej rodakom naszym niż my duchowni.“

---

### *Zmarli.*

† Ś. p. *Stanisław Swoboda de Keisertreu* dnia 4-go b. m. w 37 roku życia w Poznaniu.

---

## RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Tow. polskich przemysłowców „Harmonia“** w Trzemesznie urządza w niedzielę dnia 19go lipca w ogrodzie pana Matuszewskiego na „Swietym“ zabawę latową. Na programie są umieszczone: Koncert, taniec w ogrodzie, strzelanie do tarczy, rozmaite gry o premie dla dzieci, gry na wolności i sztuczne ognie. Szanowną Publiczność tak z miasta jak i z okolicy uprasza o liczne wzięcie udziału

Zarząd.

— **II-gi Zjazd** Kół śpiewackich polskich w okręgu brandenburskim odbędzie się w Charlottenburgu dnia 19 lipca r. b. w domu ludowym przy Rosin-Strasse numer 3.

Na Zjeździe tym występować będą następujące Koła z popisami:

1) Śpiewacy z Brandenburga.
2) Śpiewacy z Szpandawy.
3) Śpiewacy z Moabitu.
4) Śpiewacy z Berlina.
5) Śpiewacy z Charlottenburga.

---

## Wiadomości literackie.

— **Podręcznik dla mistrzów szewskich.** — „Rzemiosło to złota ręka“ — mówi przysłowie — i nie bez słuszności, gdyż w zdaniu powyższem mieści się ta myśl, że rzemieślnik może się z pracy rąk dorobić majątku i dojść do dobrobytu. A że „bez pracy nie ma kołaczy“, więc tylko rzemieślnik obrotny i praktyczny, rzemieślnik potrafiący nie tylko pracować, ale także myśleć zdrowo i rozsądnie w warsztacie przy wykonywaniu swej pracy, ma prawo do „złotej ręki.“ To też u każdego rzemieślnika powinny iść w parze i „złota ręka“ i „złoty rozum“, mianowicie winien rzemieślnik kroczyć naprzód z postępem czasu, z postępem przemysłu i z postępem wynalazków oraz ulepszeń przemysłowych, a nie być zacofanym i trzymać się, że tak powiemy, staroświeczczyzny.

Z wszystkich rzemiosł najbardziej jest u nas rozpowszechnionem i rozgałęzionem szewstwo. Niestety! liczna ta bardzo rodzina słynnego Kilińskiego przeważnie biedę klepie, uprawia partactwo i wysługuje się żydkom głównie dlatego, że nie chce posiadać „złotego rozumu“ t. j. „zmysłu przemysłowego.“

Przyczyny zacofania naszych drobnych rzemieślników szukać należy przeważnie w tem, że się nie oświecają, że posiadają mało fachowych gazet, że nie posiadają żadnych prawie *podręczników*. To też z przyjemnością dzielimy się z Czytelnikami radosną nowiną, że w końcu b. m. opuści prasę *„Podręcznik dla mistrzów szewskich do pobierania miary na obuwie“, wydany przez p. K. Kmiecikowskiego w Poznaniu.* Z przeczytanego manuskryptu przekonaliśmy się, że podręcznik, który będzie miał kształt kalendarza, jest sumiennie i dobrze opracowany, mianowicie dział dotyczący pobierania miary na obuwie, autor-fachowiec nadzwyczaj praktycznie opracował i dobrze zestawił z zupełnem zrozumieniem rzeczy. Podręcznik mieścić będzie nadto: Kalendarz na rok 1903/4-y, informacye co do opłaty listów, paczek, telegramów, nalepiania i kasowania znaczków wekslowych itd. itd. oraz kartki, przeznaczone do zapisków.

Cena nadzwyczaj nizka: egzemplarz w lepszej oprawie kosztować będzie 75 f., a w zwyczajnej, ale trwałej tylko 50 fen. Zamówienia przyjmuje wydawca: p. *K. Kmiecikowski, Poznań, Posen — Wodna ulica 2, Wasserstrasse 2.*

Ponieważ po wyjściu dziełka z druku cena prawdopodobnie będzie podwyższoną, więc zwracamy na podręcznik wyżej wzmiankowany baczną uwagę panom mistrzom szewskim, cechom szewskim, wogóle wszystkim interesowanym osobom i polecamy wydawnictwo to gorąco poparciu Szanownej Publiczności, zachęcając ją do natychmiastowego zapisywania sobie „*Podręcznika*“, który zastąpi przytem najzupełniej każdy kalendarz. *X.*

---

## Od Redakcyi.

*Gimnazyaście.* — „Kometa“, „planeta“ według nowszych zasad gramatycznych żeńskiego rodzaju.

*Panu S. W. w K.* — Owszem prosimy. Do opisu miejscowości pożądane są jednak i fotografie.

*Panu Stanisławowi K. w S.* — List wysłany.

*Pani W. Z. w B.* — Nie!

---





# Dział kobiecy.



## *Koronki.*

Wobec wzrastającej wciąż mody koronek, nie od rzeczy będzie kilka słów poświęcić temu przemysłowi, który w wiekach ubiegłych najsłuszniej mógł być do sztuk pięknych zaliczony, albowiem wielcy artyści, jak Leonard da Vinci, kreślili do nich wzory. Malarze szkoły holenderskiej XVI i XVII-go wieku w swoich portretach królów, królowych i dyplomatów, z całą dokładnością odtwarzają przepyszne koronkowe mankiety i kołnierze na tle czarnych aksamitów. Zwiedzając muzea europejskie, można na tych portretach badać rozwój sztuki koronkarskiej. Wynalezienie warsztatu tkackiego i roboty maszynowe ujęły koronkom piękności. Wyrób ręczny jest bardzo uciążliwy, wymaga długiej i umiejętnej pracy, dlatego koronki prawdziwe są tak drogie.

Nad parą mankietów męskich z koronki Valenciennes, robotnica musi pracować po piętnaście godzin dziennie przez rok cały. Najpierw robi się siateczka, a w niej dopiero zasnuwa się deseń igłą. Dlatego koronki igłowe, ręczne, nazywają się „points.“ Cena zależy od cienkości nitek. Mniej kosztownemi od Valenciennes są „blondyny“, których dostarcza Chantilly; siatka jest robiona z jedwabiu, mocniejszego od nici. Te ostatnie w suchym lokalu pękają: więc najpierw w Brukseli zaczęto sadzać robotnice w wilgotnych podziemiach, przenikał do nich jeden tylko promień światła, padając wprost na robotę. Robotnica w trzydziestym roku życia traciła wzrok zupełnie.

Innego rodzaju koronką jest „point-lace.“ Składa się ona z tasiemeczki, ułożonej za pomocą nici w deseń. Kwitnącym okresem dla „point lace“ były czasy renesansu. Z tych koronek robią się całe suknie na jedwabnej podszewce. Niedawno Francuz, nazwiskiem Aubert, wprowadził nowość, a mianowicie koronki kolorowe. Używa do nich farbowanych nici i jedwabiu. Te koronki są wyrobem ręcznym, równie uciążliwym, jak za dawnych czasów.

Dobra robotnica potrzebuje na wyrób jednego metra najmniej czterech tygodni czasu. Z tych koronek przygotowywane są kołnierzyki, wachlarze, a nawet całe suknie. Moda ich wzrasta szybko, będzie jednak przystępną tylko dla osób, nie liczących się z wydatkami. Inne muszą poprzestać na skromniejszych ozdobach. Minęły już czasy, w których stanowisko kobiety oceniano z ilości i piękności koronek.

Taka ocena, stosownie do czasów dzisiejszych współczesnej epoki, wykazałaby szczupły zastęp kobiet „dostojnych“, gdyż oprócz panujących i przedstawicielek rodów książęcych, prawdziwe koronki mają dziś jedynie damy z arystokracyi, które je odziedziczyły po babkach, i panie z plutokracyi, które je nabyły za drogie pieniądze. Inne zadawalają się naśladownictwami, trzymając się zasady: „według stawu grobla.“

## *Historya róży.*

Z nadejściem dni prawdziwie letnich zaczyna się panowanie róży — najdoskonalszego, najpiękniejszego z kwiatów, jakie w naszym klimacie istnieją. Poeci opiewali różę, opiewają i opiewać będą, dopóki istnieć będzie na ziemi.

Ale znaczenie tego kwiatu nie kończy się jedynie na poezyi. W historyi znaczenie róży było również nie byle jakie. U Rzymian róża była uczestniczką i główną ozdobą wszystkich tryumfów, wszystkich wielkich uczt, zabaw i uroczystości. A któż nie czytał w „Quo Vadis“ pięknej śmierci Petroniusza z Eunice, wśród róż i wykwintnej biesiady? Rozrzutność rzymska wysilała się, aby przy jednej uczcie niszczyć jak najwięcej róż. Nero doszedł raz do bajecznej sumy 200,000 talarów celem udekorowania różami jednej tylko uczty. Heliogabal zarządził przy takiej okazyi tak wielki deszcz róż, że część gości podusiła się, nie mogąc wyplątać się z masy kwiatów.

Verus sypiał na łożach z listków róż, z których oczywiście wprzódy wybrano starannie kolce. W Rzymie przyrządzano też mnóztwo potraw różanych w ten sposób, że dodawano do nich jakichś ekstraktów z tego królewskiego kwiatu. Wino różane było bardzo rozpowszechnione. Kąpano się w takiem winie niejednokrotnie. Heliogabal kazał raz ogromny staw napełnić takiem winem i wykąpawszy się w niem ofiarował go ludowi.

W historyi Anglii róża grała również wielką rolę, ale z innego powodu. W XV wieku wrzała tam bowiem straszna wojna pomiędzy domami Yorków i Lankastrów, z których każdy jako godło obrał sobie różę białą — i czerwoną. Jako klejnot nosiło się tę różę na hełmie.

W epopei napoleońskiej również odegrała róża wielką rolę. Było to w Tylży, po strasznym pogromie Prus. Wtedy zjawiła się u potężnego zdobywcy królowa pruska Ludwika i starała się wszelkiemi sposobami ułagodzić zwycięzcę. Napoleon przyjął ją z wielkim szacunkiem, ale nie mógł się powstrzymać od uwagi: „Jakżeście jednak mogli odważyć się zacząć wojnę ze mną.“ „Sława Fryderyka Wielkiego upoważniła nas do tego,“ odpowiedziała królowa. Jak wiadomo, udało się w końcu bardzo pięknej Ludwice przekonać zwycięzcę, że nie wypada być dla kobiet tak zupełnie bezwzględnym, choćby to miało kosztować całe państwo. Przedtem jednak zdarzył się następujący epizod: Przy pożegnaniu raz jeszcze starała się królowa zmiękczyć serce bohatera. Kiedy Napoleon podał jej ze stojącej na stole wazy kwiatowej różę, królowa uważając jego uprzejmość za dobry znak, zapytała znacząco. „Mais avec Magdebourg?“ (Ale razem z Magdeburgiem?) na co władzca połowy Europy odparł chłodno. „Muszę zwrócić uwagę waszej królewskiej mości, że to tylko ja ofiaruję i tylko Pani winna mój dar przyjąć.“



# Dział rolniczo-ekonomiczny.

## Rewolucya w mydlarstwie.

W przemyśle mydlarskim przygotowuje się rewolucya, z którą dobrze będzie naprzód się obznajomić.

Mydła wszelkiego rodzaju wyrabia się z tłuszczów, a przy masowej fabrykacyi używa się do tego takich tłuszczów, które już do żadnego innego celu nie są przydatne, jak stary łój, tłuszcz z kości, a przedewszystkiem tłuszcze roślinne, jak olej palmowy, kokosowy i t. p.

Wszystkie tłuszcze są pod względem chemicznym związkami dwóch składników: gliceryny i kwasu tłuszczowego. Kwasy tłuszczowe są rozmaite, np. kwas palmitynowy w tłuszczu palmowym, oleinowy, stearynowy — wszystkie jednakże stanowią grupę t. zw. kwasów tłuszczowych, wszystkie są w tłuszczach z gliceryną związane i zasadniczą czynnością przy wyrobie mydła jest właśnie odłączenie ich od gliceryny.

Odłączenie to osiąga się w dwojaki sposób: albo gotuje się tłuszcz ze żrącym ługiem, czyto potasowym czy sodowym — albo poddaje się tłuszcz działaniu pary wodnej ponad 100° *C* przegrzanej.

Pierwsza z tych metod pociąga za sobą różne niedogodności. Pomijając już okoliczność, że ług potasowy czy sodowy jest stosunkowo za drogim, zanieczyszcza on w dodatku końcowe produkta całego procesu chemicznego. Co prawda, przy posługiwaniu się tą metodą otrzymujemy już od razu mydło, które jest połączeniem kwasów tłuszczowych z zasadą alkaliczną, podczas gdy gliceryna zostaje jako produkt poboczny. Z ogólnej mieszaniny wydziela się, czy, jak mówią, „wysala" się mydło zazwyczaj przy pomocy soli kuchennej, a pozostawia się glicerynę, która jest zanieczyszczona nadwyżką użytego ługu, tak, że chcąc ją otrzymać w czystym stanie, należy się znowu czyszczeniem jej zająć.

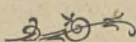
Druga metoda, t. j. używanie przegrzanej pary, czyni na razie zbędnymi żrące ługi alkaliczne i nie powoduje zanieczyszczeń gliceryny — ale ma znowu tę złą stronę, że wymaga skomplikowanego aparatu i wysokiej temperatury, która sama przez się pewną część tłuszczów niweczy. Po dokonanem wszakże odłączeniu kwasów tłuszczowych, wystarczy już zwykły węglan potasu lub sody do wytworzenia mydła, a nie są koniecznymi ługi żrące.

Otóż poza temi dwoma metodami naprowadziły laboratyjne prace chemików na trzecią metodę wyrobu mydła, która może obie poprzednie usunąć i — co najważniejsza — koszta całej produkcyi znacznie obniżyć. Wynaleziono mianowicie, że w niektórych olejnych ziarnach mieści się pewna, bliżej jeszcze nieokreślona substancya — rodzaj fermentu — który ma własność odłączania kwasów tłuszczowych od gliceryny. I co jest szczególnem, że pod wpływem niewielkiej ilości tego fermentu rozpadają się znaczne ilości tłuszczu same przez się już przy cieplocie 15 do 40° C. Poddając więc tłuszcze fermentowaniu tego rodzaju, nie ponosimy straty wskutek niweczenia pewnej ich części przez parę przegrzaną, i nie potrzebujemy wydatku na materyały opałowe, ani na żrące ługi alkaliczne. Wystarczają tu bardzo tanie makuchy pewnych nasion olejnych, z których już olej wyciśnięto.

Najenergiczniejszym fermentem w tym kierunku okazały się makuchy rycinusowe, które dotąd, po wyciśnięciu oleju, jako rzecz bezwartościową wyrzucano. Przy pomocy zakwaszonej nieco wody, powodują one rozpadanie się tłuszczów, z których oba składniki, kwasy tłuszczowe i glicerynę, daje się w całej czystości otrzymać. Z kwasów tłuszczowych oddziela się z łatwością kwas stearynowy bez dalszego jakiegokolwiek rafinowania jako materyał do wyrobu świec — kwas zaś palmitynowy i oleinowy przerabia się przy pomocy węglanów potasu i sody bez wszelkich dalszych procederów na mydło — t. j. z potasem na mydło miękkie, ze sodą zaś na twarde.

Wszystko to obraca się dotąd w obrębie doświadczeń laboratoryjnych. Gdy jednak przemysł zdobycze laboratoryów z niesłychaną szybkością dziś sobie przyswaja, można z dnia na dzień oczekiwać, że fabryki mydła przyswoją sobie nową metodę fabrykacyi i rzucą w handel nowe, znacznie tańsze mydło.

*J. St.*



## Wystawa zoologiczna

odbędzie się w Poznaniu pomiędzy dn. 11 a 19 lipca, równocześnie z obchodem 650 letniego jubileuszu poznańskiego towarzystwa strzeleckiego i to w lokalu i ogrodzie „San Remo," tuż przy strzelnicy. Wystawę urządza Towarzystwo zoologiczne na Poznań i okolicę (prezes p. Raczyborski). Przesyłać na ową międzynarodową wystawę z drobnych zwierząt można: psy wszelkich ras, kozy rasowe, owce mleczne, nierogaciznę, muły, osły, koty, króliki, bażanty, drób, gołębie, egzotyczne ptaszki śpiewne i ozdobne, pszczoły, zbiory, jako i sprzęty fachowo-przemysłowe. Programy i arkusze meldunkowe rozsyła na życzenie bezpłatnie I. sekretarz p. Ludwik Kantorowicz, Poznań św. Roch. Urząd sędziów nagradzających przyjął cały szereg wybitnych gospodarzy, hodowców zwierząt i fachowców w obydwóch obwodach rejencyjnych. Nagrody wyznaczono następujące: 2 medale z bronzu, ofiarowane przez Izbę rólniczą na W. Ks. Poznańskie,, dalej 16 srebrnych i bronzowych medalów, danych przez Tow. zoologiczne i 20 nagród honorowych. Ostatni termin zgłoszenia się był 25-go czerwca r. b.



## Notatki ekonomiczne

*Spotrzebowanie węgla kamiennego.* Produkcya węgla kamiennego dosięgła w r. 1901 cyfry 865 mil. tonn, które zostały spotrzebowane w zupełności. Na czele produkcyi stoją Stany Zjednoczone z 263 mil. tonn, Anglia z 245 milionami i Niemcy z 168 mil.; a wzrost produkcyi w tych trzech krajach w przeciągu lat trzydziestu wynosi 700 proc. Austrya zajmuje czwarte miejsce z 43 mil., dalej Francya z 35 mil. i wreszcie Belgia z 25 milionami. Produkcya węgla we Włoszech była dotychczas tak małą, że nie liczono się z nią wcale. Tego roku jednak odkryto w najbardziej przemysłowej prowincyi, a mianowicie w Piemoncie, pokłady, które mogą dostarczyć 8 milionów tonn rocznie, co równa się prawie dotychczasowemu importowi. Tak wielkie zapotrzebowanie węgla mogłoby wzbudzić zaniepokojenie, ostatnie pokłady nie zostały jednak jeszcze naruszone, i, jak geologowie utrzymują, zapasy jego w ziemi wystarczą co najmniej na 200.000 lat.



# Dodatek Humorystyczny.

## Dlaczego Anglik zwaryował?
czyli
**poznańskie zegary.**

Był niedawno tu w Poznaniu
Pewien Anglik, cały w kraty,
Co miał w kufrze artykułów
Zbiór obfity i bogaty...

Więc do kupców poszedł szparko
Zwiedził też ich poczet długi,
Aż mu kupiec rzekł hurtowy:
— Przyjdź pan do mnie punkt o drugiej!

Ja towaru cały zapas
Wezmę chętnie i zapłacę,
Bo wszak na nim chyba prędko —
Ja zarobię, a nie stracę...

Tylko bardzo pana proszę,
Odwiedź mnie pan punktualnie,
Bom w mej pracy całodziennej
Jest zajęty kapitalnie... —

Anglik skłonił się uprzejmie,
I dłoń kupca ścisnął silnie,
Przyrzekając punkt o drugiej
Stawić się nazajutrz pilnie.

Gdy dzień minął Anglik gotów!
Więc szykować się zaczyna,
Na zegarek spojrzał wreszcie:
Blizko druga już godzina!

Więc mknie szybko, aż zeń potu
Leją się obfite strugi,
Ale słyszy— na ratuszu
Zegar bije wpół do drugiej...

Ach to czasu mam zanadto!
Pocóż śpieszyć się do licha!
Wstąpię zatem do cukierni
I tam spocznę sobie z cicha!

Siedzi, siedzi — pół godziny —
Śle myśl w własny kraj — upartą,
Aż tu naraz — wielki Boże!
Zegar głośno bije czwartą!....

Cały drżący i w gorączce
Wylatuje w środek miasta,
Patrzy — zegar wisi w oknie,
Na zegarze — punkt dwunasta!

Idzie dalej, ale ledwie
Trzymać jest się w stanie kąta,
I spostrzega, że znów w oknie
Wisi zegar, na nim.... piąta!

Krótko mówiąc, dziś Anglika
Los okrutnie wziął za bary:
No bo rozum — te poznańskie
Pomięszały mu zegary...

## *Poczem sądzi?*

— Poczem sądzisz, że twoja fotografia wypadła tak okropnie?

— Bo wszystkie moje przyjaciółki proszą o nią, a żaden z moich przyjaciół jeszcze jej nie ukradł.



## Józef egipski.

— Słyszałeś co o Józefie egipskim? nauczyciel pyta się chłopca sześcioletniego.

— Owszem — odpowiada chłopiec. No więc możesz mi powiedzieć, jaką krzywdę bracia zrobili Józefowi, gdy go sprzedali?

— Oni go sprzedali bardzo tanio — odpowiada chłopak.



## Grzeczny dozórca.

Dozórca ogrodu: Mógłbym pana dobrodzieja prosić o ołówek?

— Przechodzień: Owszem z największą chęcią.

Doz. ogr.: A teraz pan dobrodziej poda swój adresik; widziałem, jak pan przed chwilą kwiaty zrywał.



## Poemata nawiasowy.

O piękne dziewczę jako senna mara,
Wielkie jak obłok kadzielnego dymu
(Panna to była i brzydka i stara,
Lecz „dym“ potrzebny piewcy był do [rymu),
Postaci cudna, pozwolisz mi zatem,
Że na cześć twoją skrę natchnień za- [łączę...
(„Skra natchnień“ była zwyczajnym pla- [giatem
Lecz to w praktyce dość często się plącze).
O zostań moją! Na miłości łące
Hasać będziemy co wieczór i rano...
(Panna w posagu miała trzy tysiące
Na ciężkie czasy — ujdzie takie wiano).
Twój wierny dzisiaj bez ciebie wciąż [wzdycha...
Co noc ogarnia mnie samobójstw zapał...
(Miał zwyczaj wglądać często do kielicha,
Potem noc całą, niby suseł, chrapał).
Więc zostań moją, bo już niemam rady
I rozpędź z czoła mego smutku chmurę!
(Od dwóch lat prawie chodził bez posady
Pragnął przy żonie mieć więc synekurę).



## *Na raucie domowym.*

— A teraz może zaśpiewać państwu co smutnego.

— Ślicznie dziękujemy; śpiew pani jest wogóle bardzo smutny.



## *Służąca „moderne.“*

— Moja Joasiu, nie jestem zawziętą i gdybyś czem zawiniła, a przyjdziesz mnie przeprosić, zawsze ci wybaczę

— Nie proszę pani, „nie pójdziemy do Kanossy?“



## Pisarka.

Zgłodniałego dziecka płacz przerywa ci- [szę,
Ona nie uważa, jeno ciągle pisze.
Mąż na kołnierzyka brak czystego kwęka,
Nie wypuszcza pióra pani żony ręka.
Sługa się niezdarnie do obiadu bierze,
Pani zaś zygzaki stawia na papierze;
Froter cenną lampę stłukł na miazgę [w sali —
Ona iskry natchnienia swe wykrzesa dalej.
Spojrzyjcie co pisze... Och, pisze nie- [stety:
„Cele i zadania zamężnej kobiety.“



## Doświadczony.

— Ach! jak szczęśliw jestem, że wydaję córkę za mąż, chociaż ja nie cierpię narzeczonego mej córki... szepcze pewien ojciec do swego przyjaciela.

— Taaak? A jesteś dla niego wyjątkowo uprzejmy... nadskakujesz mu, prawisz komplementy?

— Bo obawiam się, aby nie cofnął się...

— Ma dobre stanowisko?

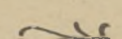
— Nie!

— Bogaty?

— Nie!

— Więc zapewne córka twoja szalelenie go kocha?

— I to nie!... Ale widzisz, chcę jak najprędzej wydać córkę za mąż, wtedy żona moja przestanie mi dokuczać, mając lepszą ofiarę — zięcia. Mówię, to z własnego doświadczenia: teść mój dopóki nie zostałem jego zięciem, przechodził czyściec na ziemi.



# Dział powieściowy.



## SPIEWACZKA ŁUDOWA.

### Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

8)

(Ciąg dalszy.)

Z westchnieniem ulgi i wdzięcznem ku niebu spojrzeniem stanął Henryk na miękkiej murawie i wyciągnął rękę po wiosło. Ale czy Cezaryna zbyt już była słabą, czy też umyślnie to uczyniła, dosyć, że zamiast podać Henrykowi wiosło, wypuściła je z rąk. Przytem poruszyła się tak mocno, że kra zachwiała się i popłynęła dalej z poprzednią szybkością, ku niebezpiecznym skałom. Henryk skamieniał. W pierwszej chwili chciał się rzucić na ratunek nieszczęśliwej kobiety, ale zanim zdołał wskoczyć do wody, już kra oddaliła się tak, że nigdy nie byłby jej dosięgnął. Cezaryny nikt i nic nie zdołało ocalić — jeszcze kilka sekund — w ciszy porannej dał się z daleka słyszeć cichy krzyk, i potem — znikło wszystko w bezdennych czeluściach.

Henryk był ocalony.

Zmęczony, drżący od zimna i głodu, postanowił przedewszystkiem iść dalej, aby poszukać jakiegoś mieszkania ludzkiego i prosić o trochę chleba — mokre ubranie ciężyło mu niezmiernie i utrudniało wszelkie ruchy, ale on nie zważał na to. Wlókł się więc naprzód, wolno, odpoczywając co chwila, nie wiedząc, gdzie jest i dokąd idzie.

Stamtąd z małego wzgórza musiał być szerszy widok na całą okolicę, chciał więc iść i rozejrzeć się nieco. Kilkanaście wysokich drzew rosło na pagórku, mógł sobie łatwo z gałęzi przygotować kij, tem więcej, że miał w kieszeni ostry nóż. Nadzieja, że podpierając się mocnym kijem będzie mógł iść prędzej, dodała mu nowych sił; ale gdy nareszcie wszedł na pagórek, gdy stanął pomiędzy drzewami, krzyknął przerażony i doznał po raz pierwszy w życiu uczucia śmiertelnego strachu.

Wśród drzew stała szubienica, a na niej wisiał trup jakiegoś mężczyzny.

Henryk upadł na ziemię. Po doznanych wzruszeniach wywarł widok ten tak straszne na nim wrażenie, że zdawało mu się, że albo umrze tu, albo dostanie pomieszania zmysłów.

Potem stracił przytomność.

Jak długo tu leżał, tego nie wiedział, ale gdy znów otworzył oczy, stało słońce wysoko na niebie i ogrzewało go o tyle, że ubranie jego dosyć już było suche. Gdy sobie uprzytomnił całe położenie rzeczy, zawstydził się swej poprzedniej słabości, i chcąc wszystko wobec samego siebie naprawić, postanowił zdjąć ciało wisielca i pochować je uczciwie w ziemi. Przedewszystkiem więc wszedł na drzewo, przeciął nożykiem postronek i spuścił zwolna trupa na śnieg, a ponieważ członki zmarłego zupełnie jeszcze były miękkie, przeto śmierć musiała nastąpić przed kilku dopiero godzinami.

Twarz wisielca dziwnie była piękną i szlachetną, a pomimo śmiertelnego, konwulsyjnego wykrzywienia rysów, został na ustach uśmiech nieco hardy i szyderczy. Henryk wpatrywał się długo w to blade, martwe oblicze — zdawało mu się, że widział już raz w życiu tego nieszczęśliwego młodzieńca, nie mógł sobie jednak przypomnieć, kiedy i gdzie to było.

Nagle zadrżał.

— Ah, już wiem, — zawołał głośno, i rozerwał czemprędzej lewy rękaw zmarłego. — Tak, to on!

Na ramieniu młodzieńca były wypalone dwie litery: N. i P.

— Niepodległość Polski, — szepnął Henryk ze łzami w oczach. — Ach, biedna, nieszczęśliwa ojczyzno moja! Ile ofiar potrzeba na zdobycie twej wolności, ile krwi jeszcze popłynie, zanim dojdziemy do celu! I ten szlachetny młodzieniec stał się pastwą moskiewskich katów!

Teraz więcej jeszcze niż poprzednio zapragnął pochować zmarłego, a potem iść dalej — gdzieś przecież musieli tu ludzie mieszkać.

I gdy teraz układał znów w porządku rękaw wisielca, uczuł, że pomiędzy wierzchnią materyą, a podszewką zaszyte są jakieś papiery . Szybkim ruchem rozciął rękaw i rzeczywiście — zżółkły i kilka razy złożony kawał papieru wypadł na ziemię.

Musiała to być jakaś tajemnica!

Henryk wziął papier, rozłożył go i z najwyższą radością następujące przeczytał słowa:

— Ja Feliks Poliński, jestem jednym z tych pięciu Polaków, którzy wiedzą, gdzie się znajduje szczęśliwie przed Moskalami ukryta kasa wojenna. Czterech moich towarzyszy już nie żyje, ja sam zatem znam tę tajemnicę. Obawiając się, że czy prędzej czy później zostanę także schwyconym i albo rozstrzelanym albo na Sybir posłanym, powierzam temu kawałkowi papieru moją tajemnicę — mam przeczucie, że ona w właściwe dostanie się ręce.

Skarb wojenny znajduje się w pewnym grobie na żydowskim cmentarzu w Sadogórze, i tylko tamtejszy rabin wie o tem. Kto pójdzie do niego i powie mu, że jest jednym z pięciu, temu on skarb cały wyda. Tylko złoty puhar, wysadzony brylantami, należy wręczyć księciu Adamowi Starzyckiemu w Warszawie.

— Dziękuję ci, mój przyjacielu — szepnął Henryk, przyciskając ów ważny dokument do ust, — dziękuję ci za tę ważną dla mnie tajemnicę! Stanę się znowu bogatym, wielkim — ale tym razem zużyję inaczej skarby, razem z moją ukochaną Teresą będę się starał....

W tejże chwili dobył się z piersi jego straszny jęk — obie ręce podniósł w górę, twarz wykrzywiła się okropnie, oczy zdawały się na wierzch wychodzić i w następnej chwili, ulegając niewidzialnej jakiejś potędze, upadł na ziemię.

Z tem wszystkiem tyle miał jeszcze przytomności, że ważny ów dokument wsunął w śnieg. Tam wilgoć zmaże litery i papier w strzępki zamieni.

Potem dotknął ręką szyji, na którą mu mocny i gruby sznur zarzucono.

— Uduszą mnie — pomyślał.

Sznur ściśniał się coraz to więcej, Henryk bliżkim był śmierci.

— Dalej, Rustanie — dał się teraz słyszeć przy nim dźwięczny głos kobiecy — trzymaj go, a ty Janie zaciągnij sznur — spieszcie się! To już drugi dzisiaj!

I młoda, piękna dziewczyna, ubrana w męzki strój, uklękła przy nieprzytomnym prawie Henryku. Dwaj towarzysze, a raczej słudzy jej, zbierali się zwolna do strasznej roboty...

Dziewczyna mówiła po rosyjsku, słudzy jej także

W Petersburgu i Warszawie znał ją każdy — była to bowiem Fedora, córka Wielkiego księcia Konstantyna, namiestnika Królestwa Polskiego.

Piękna ta i młoda Rosjanka, dzika z natury, nienawidziła Polaków, i dobrawszy sobie dwóch równie zawziętych Moskali, wychodziła często, jak mówiła, na łowy. Biada każdemu Polakowi, którego spotkała — kazała go bowiem albo wieszać, dusić, albo też zastrzelić, stosownie do chwilowej fantazyi. Ojciec pozwalał jej chętnie na takie wybryki i chwalił jej gorliwość w tępieniu Polaków — w owym czasie wszystko było wolno, i każde bezprawie Moskali stawało się prawem. Fedora pochylona nad Henrykiem, nie wyglądała wcale na tak okrutną, jaką w rzeczywistości była, ale w oczach jej jaśniała radość na widok nowej ofiary.

Rustan przygotował sznur i wskazał na szubienicę.

— Tam? — zapytał krótko.

— Tak, — odrzekła Fedora — ale obróćcie go najpierw, chcę zobaczyć twarz jego!

Jan i Rustan podnieśli zemdlonego Henryka i Fedora spojrzała na niego.

— Boże! — krzyknęła, zrywając się — rozwiążcie coprędzej sznur! To on! on! Prędko, spieszcie się! Rustanie, poznajesz go? Bylibyśmy go zabili! Ach, nareszcie znalazłam go! I sama, drżącemi rękami rwała sznur z szyi Henryka.

Rustan dobył noża i jednem cięciem uwolnił zemdlonego od okropnych ciężarów.

— A teraz — rzekła Fedora — okryjcie go waszemi płaszczami i zanieście do sanek. Pojedziemy, co koń wyskoczy do domu, a potem przewieziemy go do Warszawy, do pałacu mego ojca!

W następnej chwili stało się wszystko tak, jak Fedora rozkazała i kilka godzin później pędziły sanki, zaprzężone w cztery dzielne rumaki, przez stepy naddunajskie w daleki świat.

Henryk oddalał się coraz to więcej od tej, którą kochał.

Teresa opłakiwała go jak umarłego.

## ROZDZIAŁ V.

*Co się działo w ustronnym domku.*

Mniej więcej dwa miesiące później, siedział wielki książę Konstantyn, namiestnik Królestwa Polskiego w wspaniale urządzonej pracowni w królewskim zamku w Warszawie, i rozmawiał z stojącym przed sobą wytwornie ubranym, wysokim i chudym mężczyzną.

Mężczyzną tym był baron Bondi.

Książe Konstantyn liczył wówczas lat 50, był wysoki i silnie zbudowany,, łysy, o szerokiej, kościstej twarzy, małych, złośliwych oczach i długiej siwej brodzie. Ubrany był w ciemnozielony mundur, lśniący złotem i miał za pasem sztylet, którego rękojeść kosztownemi błyszczała brylantami.

— Jestem bardzo z pana zadowolony— mówił Wielki książe do barona. — Staraj się tylko o ile możności pozyskać zaufanie szlachty polskiej, i donieś mi zawsze dokładnie o wszystkiem, co mówią i czynią. Odpowiednia nagroda czeka cię napewno, ja sam już wspominałem o tobie carowi, memu bratu!

Bondi ukłonił się nisko, a oczy jego dziką błysnęły radością.

— Poświęciłem się wyłącznie służbie Rosyi — rzekł z wielką pokorą — i czynię wszystko, co mogę. Ale muszę wyznać, że znajduję się tutaj w bardzo niebezpiecznem położeniu. Szlachta polska uważa mnie za swojego — fałszowanemi dokumentami wykazałem, że pochodzę z czysto polskiej rodziny. I ma do mnie zaufanie, panowie zaczynają mnie już wtajemniczać w ich plany co do przyszłości, nie mając pojęcia, że ja wszystko sobie notuje, aby powtórzyć Waszej książęcej Mości. I to właśnie jest tak niebezpiecznem! Niechby się tylko wydało, że jestem członkiem tajnej policyi rosyjskiej, to w przeciągu kilku godzin przestałbym żyć!

— Wiem — odrzekł książe i zaczął się przechadzać po salonie. — Ze szpiegami inaczej się nie postępuje. Tak samo zgładzono hrabiego Liwskiego, który wielkie mi oddawał przysługi, i to w chwili, w której się najmniej tego spodziewał.

— Wasza książęca Mość raczysz uznać — zaczął znów Bondi, — że nie miałbym wcale ochoty dzielić los hrabiego Liwskiego, dla tego błagam o jak najściślejsza dyskrecją! Niech Wasza Książęca Mość nie wymienia nikomu mego nazwiska, nawet członkom swej rodziny....

Książe stanął i zdumiony spojrzał na barona.

— Co do członków mej rodziny — rzekł wyniośle — to myślę, że nie będziesz ich podejrzywał o jakiekolwiek bądź sympatje dla Polaków! Synowie moi nienawidzą wszystko co polskie, a moja córka Fedora wróciła przed dwoma tygodniami dopiero z łowów..... Czy wiesz, baronie, na jaką ona zwierzynę poluje w Węgrzech, Austryi i Polsce? Otóż nie na sarny i zające, tylko na spiskowców polskich!

— Wspaniałe łowy — uśmiechnął się Bondi szyderczo — księżniczka Fedora jest równie piękną jak odważną, a jednak......

— A jednak co? — powtórzył książe groźnie. — Co to znaczy? Usta twe nie chcą wymówić jakiegoś słowa — domyślam się, że masz jakąś przykrą wiadomość — dalej, mów prędko baronie! Wiesz, że czekać nie lubię i nie umiem!

—Ponieważ przysiągłem, że wszystko zawsze otwarcie mówić będę — szepnął Bondi z pozornym smutkiem, — i ponieważ pragnę uchronić Waszą książęcą Mość przed morderczemi ciosami Polaków, przeto nie mogę zważać na nikogo i na nic, i muszę oskarżyć tych nawet, którzy są najbliższymi sercu Waszej książęcej Mości. Bardzo mi to przykro....

— Mów, prędko! — krzyknął książe.

— A więc — księżniczka Fedora kocha pewnego Polaka, i widuje się z nim co wieczór.....

Książę zachwiał się, a ręka jego spoczęła mimowoli na rękojeści sztyletu.

— Co, Fedora, moja córka! — krzyknął nieludzkim prawie głosem. — Moja córka, najzaciętsza nieprzyjaciółka Polaków, miałaby uczynić coś podobnego? Ona miałaby nas zdradzać?

— O zdradzie wcale przecież nie mówiłem, — szepnął Bondi, wzruszając lekko ramionami, — ja się tylko ograniczam na stwierdzeniu faktów. I te są następujące: codziennie około ósmej wieczorem opuszcza księżniczka pałac w rozmaitem przebraniu, idzie przez wielki most na Staremiasto i znika w jednej z bocznych ulic placu Krasińskich. Na końcu tej uliczki leży mały, piętrowy domek. Przed dwoma tygodniami nikt jeszcze w nim nie mieszkał, potem wprowadził się tam ktoś, ale żaden z sąsiadów nie widział dotąd nowego lokatora. Okna bowiem i okiennice szczelnie są zamknięte dniem i nocą, i dopiero około ósmej wieczorem widać przez szczerby w okiennicach słaby promień światła!

— I kto, kto tam mieszka?

— Mówią ludzie ,że jakiś młody, piękny Polak. Ktoś go widział przypadkiem stojącego przy oknie. Ja zaś przekonałem się sam o tem, że księżniczka Fedora chodzi tam codziennie o ósmej i wraca około dziewiątej.

Sina bladość pokryła twarz księcia, a oczy jego zdawały się ciskać błyskawice.

— Baronie Bondi, — szepnął ochrypłym głosem, — będziesz musiał mi to wszystko, co mówiłeś, udowodnić dziś jeszcze. Bo tu chodzi o twoje życie! Biada ci, jeżeliś skłamałeś!

— Jestem zupełnie pewnym mej sprawy, Wasza książęca Mość, — odrzekł Bondi, — i daję chętnie głowę, jeżeli tak nie jest, jak mówiłem!

— Zobaczymy!

— A cóż będzie, — rzekł Bondi zupełnie wolno, — jeżeli się okaże, że powiedziałem prawdę? Co wtedy uczyni Wasza książęca Mość?

— Wtedy, — syknął książę z złowrogiem spojrzeniem, — wtedy umrze dziś dwoje ludzi!

— Dwoje?

— Tak! Ów tajemniczy nieznajomy nie dożyje rana, i ona — moja — córka — którą kochałem — nad wszystko w świecie — ona także musi — — umrzeć! Umrzeć, jak każdy — zdrajca! Wydrę sobie serce z piersi, ale litości — nie będę miał dla niej. Jak mogła się moja córka tak poniżyć, aby pokochać jakiegoś tam — Polaka! Ona musi — umrzeć!

— Wasza książęca Mość jesteś prawdziwym Rzymianinem, — rzekł Bondi z udanym podziwem, — wyrok ten jest okropnym, ale sprawiedliwym! Jednak — hm, to jest — chciałem powiedzieć, że Wasza książęca Mość nie tylko karać, ale i wynagrodzić powinna tego, który Waszej książęcej Mości w sam czas oczy otworzył, i zwrócił uwagę na to, że bądź co bądź należy dom Najjaśniejszego cara

schronić od wstydu i hańby, a może i nieszczęścia!

Książę spojrzał z pogardą na szpiega, który temi słowami zażądał nagrody.

— Bardzo słusznie, — rzekł, zbliżając się do biurka, — chcesz pan wiedzieć, jak ci za to zapłacę! Więc oznacz sumę sam — ile żądasz za tę przysługę? Na ile cenisz moją córkę? Pięć, dziesięć albo dwadzieścia tysięcy rubli? Dam, ile chcesz!

— Ja pieniędzy nie pragnę, — odpowiedział Bondi. — Prosiłbym o inną nagrodę!

— Dobrze. Otrzymasz wszystko, czego sobie życzysz!

— Ach, błagam Waszą książęcą Mość o dość dziwną nagrodę! Polega ona właściwie na tem, że chcę sprawić Waszej książęcej Mości wielką przyjemność!

— Więc o cóż to chodzi? — zapytał książę obojętnie.

— We Wiedniu mieszka pewna śpiewaczka, która niedawno dopiero stała się znaną i sławną. Wiedeńczycy przepadają się za nią!

— Cóż mnie tam jakaś śpiewaczka obchodzi. — rzekł książę zniecierpliwiony.

— Ja — kocham ją — ale ona ani słuchać o mnie nie chce!

— Wierzę, — uśmiechnął się książę mimowoli. — Więc może ja mam ją w imieniu pana prosić o rękę?

— Więcej niż to, — zawołał Bondi nieco śmielej, — pragnąłbym bardzo, aby Wasza książęca Mość wezwała Teresę Krones, bo tak się owa artystka nazywa, tu, do Warszawy, na trzy występy.

— Czemu?

— Przez dwa wieczory mogą się wszyscy, a przedewszystkiem Wasza książęca Mość, zachwycać jej cudownym głosem, trzeci wieczór zaś należy do mnie! Wasza książęca Mość musisz mi pozwolić porwać ową śpiewaczkę, i zawieść ją do mego domu. Chodzi tylko o to, abym miał zapewnioną wszelką wolność działania. i aby mnie żadna za to nie spotkała kara. Bo Teresa Krones jest poddaną austryacką.

Książę drżał z gniewu i oburzenia.

— Rozumiem już, — odrzekł szyderczo, — mam zwabić piękną Teresę Krones do Warszawy, na rosyjską ziemię, bo na austryackiej nie możesz jej narzucić twej miłości. Ale zgadzam się na wszystko jeżeli to co pan mówiłeś, okaże się dzisiejszego wieczora prawdziwem!

— W takim razie jest Teresa moją, — szepnął Bondi cicho, a twarz jego szatańską zajaśniała radością.

— Czy Wasza książęca Mość pójdzie dziś ze mną na Staremiasto?

— Tak! Przyjdź pan o siódmej do pałacu. Stósowne ubrania dla nas obydwóch będą przygotowane!

— Stawię się punktualnie!

— Ciekawy jestem, jak dalece moja córka zapomniała o swoich obowiązkach względem naszej rodziny! Czy ona sprzysięgła się z moimi wrogami na moje życie?

— Ach, Wasza książęca Mość widzisz wszystko zbyt czarno!

— Nie, nie. W rodzinie Romanowów zdarzały się już wypadki, że synowie mordowali ojców i ojcowie synów. No, zobaczymy. W każdym razie potrafię ukarać wyrodną córkę. Więc o siódmej!

— — — — — — — — — — —

Zegary kościelne wydzwoniły ósmą.

Równocześnie wysunęła się z pałacu królewskiego ciemna, wysoka postać kobieca, okryta skromnym, długim płaszczem i biegła szybko przez most, w stronę placu Krasińskich.

Teraz skręciła w jednę z bocznych uliczek i stanęła. Zdawało jej się, że ktoś idzie za nią. Uniosła więc nieco chustki, którą miała na głowie i obejrzała się badawczo na wszystkie strony.

W tejże chwili przeszło po drugiej stronie ulicy dwóch mężczyzn, widocznie kupców rosyjskich, bo takie przynajmniej mieli ubrania. Potem zatrzymali się na chwilę i szli znowu spokojnie dalej.

Fedora drżała ze strachu. Bystremi swemi oczami patrzała przenikliwie na obydwóch kupców, jak gdyby chciała zajrzeć aż do ich serca, a w sercu jej zbudziło się nagle dziwne podejrzenie.

— Czy to szpiegi — myślała, — czy śledzą mnie? Ah, niechby się tylko kto odważył stanąć mi na drodze! Jeszcze mam rewolwer przy sobie i umiałabym się bronić! Przekonałabym każdego, że niebezpiecznie ze mną zaczynać!

Teraz wrócili kupcy i poszli w inną ulicę. Fedora swobodniej odetchnęła.

— Omyliłam się, — szepnęła, biegnąc dalej, — nikt nie przeczuwa mej tajemnicy. Ach, gdyby się ojciec mój miał o tem dowiedzieć! O Boże! A ja czuję, że mogłabym stać się Polką, gdyby on, Henryk, zażądał tego! Polacy nie mogą być tak złymi, jeżeli mają więcej takich, jak Henryk! O, czemu on mnie nie kocha! Jak może tak spokojnie patrzeć na moją miłość, na moje męczarnie! Setki innych mężczyzn czułoby się szczęśliwymi, gdybym się do nich uśmiechnąć raczyła — książęta klękali już przedemną, błagając o jedno spojrzenie, a on! Chyba serce jego z kamienia!

Fedora zbliżała się już do ustronnego domku, znikającego zupełnie w ciemności wieczornej.

Obejrzała się jeszcze kilka razy uważnie na wszystkie strony, i dopiero, gdy się przekonała, że ulica zupełnie była pustą, wyjęła klucz z kieszeni i otworzyła drzwi domku.

W następnej chwili znikła w ciemnej sieni i z bijącem sercem wbiegła na schody.

— Kto tam, — odezwał się nagle szorstki głos i olbrzymia postać stanęła u góry, na schodach.

— To ja, Fedora. Czy wszystko w porządku, Rustanie? Jakże się miewa mój więzień?

— Dobrze, księżniczko, — odrzekł wierny sługa, pochylając się i całując rękę swej pani. — Więzień znajduje się pod dobrą opieką. Nie ruszam się od żelaznych drzwi, za któremi mieszka, i codziennie oglądam dokładnie żelazne kraty przy oknach, czy nie chciałby ich przepiłować lub wyłamać. Zresztą jest on tak smutnym, przygnębionym i milczącym, jak zawsze. Żąda swej wolności i nie może pojąć, że jest więźniem mojej pięknej, ukochanej księżniczki!

— Moim więźniem, — powtórzyła Fedora zrzucając płaszcz i podając go Rustanowi, — nie, ja nie chcę, aby on był więźniem i niewolnikiem! To raczej ja pragnęłabym być jego niewolnicą, bo ja go kocham. Ach Rustanie, ja go tak kocham!

I owa zuchwała dziewczyna, przed której spojrzeniem drżeli wszyscy, oparła głowę poufale na ramieniu starego sługi i głośno płakać zaczęła.

Po chwili jednak otarła oczy.

— Otwórz drzwi, — rzekła spokojnie, — chciałabym go teraz zobaczyć!

Rustan ujął klucz, wiszący mu na mocnym, żelaznym łańcuszku na szyji, i otworzył ciężkie drzwi.

— Czekaj tu na mnie, — szepnęła Fedora, — nie odchódź ani na sekundę. Mam takie przeczucie, że dziś grozi mi jakieś niebezpieczeństwo!

— Bądź spokojną, księżniczko! Położę się jak pies na tym progu, i chyba po moim trupie wejdzie ktoś do tego pokoju, — upewniał wierny starzec.

Fedora z wdzięcznością spojrzała na niego, wiedziała bowiem, że on jej nigdy nie zawiedzie. Potem przeszła duży pusty pokój stanęła na progu małego saloniku urządzonego z całym wschodnim przepychem.

Były tam nizkie, miękkie otomany, pokryte czerwonym jedwabiem, stoły, wykładane złotem i perłową macicą, grube tureckie dywany, i kosztowne obrazy. Z sufitu zwieszała się różowa lampa i oświecała wszystko istnie czarownym blaskiem.

Na jednej z nizkich ottoman leżał Henryk. Niezwykła jego piękność uwydatniała się teraz więcej jeszcze, blada, klasyczna twarz otoczona ciemnemi kędziorami, wyrażała głęboki smutek, wielkie czarne oczy wpatrywały się bezmyślnie w zasłonięte okno.

Może myślał o zmarnowanem szczęściu swojem, może łudził się nadzieją, że kiedyś ujrzy jeszcze ukochaną Teresę i połączy się z nią na zawsze.

I teraz ujrzał Fedorę. Zerwał się więc natychmiast i stanął przed nią dumny, wyniosły, jak gdyby on tu był panem, a ona niewolnicą.

— Przyszłaś nareszcie, księżniczko, — rzekł, — aby mi wrócić wolność?

— Nie!

(Ciąg dalszy nastąpi.)







# MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

70) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

## ROZDZIAŁ CXXIX.

### Pierścionki.

Dwa dni później był Feliks blizko Petersburga. Szedł dosyć raźno, pragnąc jak najprędzej stanąć w Wiedniu, aby zdaleka patrzeć na ukochaną Elżbietę. Dotychczas odbywał drogę bez wszelkich przygód, obiedwie noce przepędził w domach wieśniaków, którzy żadnego nawet wynagrodzenia od niego przyjąć nie chcieli.

Gościnność rosyjska znaną jest na całym świecie, u nich przysłowie „gość w dom, Bóg w dom,“ — ma jeszcze to samo znaczenie, z jakiego powstało.

Powietrze sprzyjało mu także, ale teraz, gdy już niedaleko był stolicy, zaczęło się niebo chmurzyć i deszcz, jak to mówią, wisiał w powietrzu.

I teraz nawet zaczęło się błyskać i grzmieć — jeszcze chwila, a burza wybuchnęła z całą gwałtownością.

Feliks biegł szybko, zdaleka bowiem ujrzał dom jakiś, i tam pragnął schronić się przed burzą.

Sień była otwarta.

Gdy Feliks wszedł, otworzyły się drzwi boczne i niemłody już mężczyzna, o niesympatycznej, a nawet odrażającej twarzy ukazał się z latarnią w ręku.



Pożegnanie Feliksa z Elżbietą. (Patrz nr. 27, strona 844.)

Był to widocznie żyd.

— Hej, przyjacielu, — zawołał Feliks, — powiedzcie mi, gdzie mogę noc dzisiejszą przepędzić? Bo w tym deszczu iść dalej jest niemożliwem.

Żyd roześmiał się głośno.

— Zmokłeś pan już do suchej nitki, — rzekł, — i najpierw musisz znowu uschnąć. Potem napić się gorącego punczu, potem przespać się trochę! Wszystko to znajdziesz tutaj, bo dom ten jest hotelem.“

— Tem lepiej! Zaprowadźcie mnie do jakiego pokoju!

— Pójdź pan! Będziesz zadowolonym, bo lepszego gospodarza jak żyd Gregorowicz nie znajdziesz nigdzie!

I rzeczywiście, Feliks musiał przyznać, że gospoda ta bardzo była wygodną.

W pokoju, tak zwanej sali, znajdowało się jeszcze dwóch mężczyzn, ale Feliks nie zwracał na nich uwagi. Głodny i spragniony, zabrał się do obfitej kolacyi i po zaspokojeniu swego apetytu, spojrzał dopiero na swoich towarzyszów. Siedzieli oni przy sąsiednim stole.

Jeden z nich był wysoki, szczupły i dosyć elegancko ubrany — tem dziwniej więc wyglądało, że znajdował się tu w towarzystwie człowieka, nie należącego, przynajmniej z pozoru, do lepszego towarzystwa. Był to widocznie prosty tylko robotnik. —

Wytworny mężczyzna nie był już młody, czarne włosy mocno były zmieszane z siwemi, tak samo i krótka, wązka broda. Twarz blada i zwiędła, miała rysy ostre, a czarne oczy patrzały na świat boży bystro i przenikliwie, jak gdyby chciały wszystko przejrzeć aż do głębi. W każdym razie były to oczy niezwykłe.

Na białych i delikatnych palcach kosztowne błyszczały pierścienie, a śpilka w krawatce przedstawiała majątek. Sąsiad jego był młodszy, trzydziesto letni mniej więcej mężczyzna, ale twarz jego żółta i pomarszczona świadczyła aż nadto o lekkomyślnem życiu. Oczy, małe, czarne, przypominały oczy hyeny, a wązkie zaciśnięte, usta nadawały twarzy wyraz niezmiernej złośliwości.

Obydwaj patrzeli uważnie na Feliksa — którego obecność bardzo im widocznie była nieprzyjemną.

— Jak mogłeś — szepnął starszy do żyda, — wprowadzić tu tego młokosa! Zostanie on tu pewnie na noc, a ty wiesz dobrze, że szpiegów nie potrzebujemy!

— Taki on gość, jak każdy inny, — odrzekł żyd, a gdybym nikogo nie przyjmował, to bym wnet wyszedł z torbami.



Zbiegli Kozacy jako zwiastuny szczęścia. (Patrz nr. 26, strona 787.)

On jutro rano pójdzie dalej, a dziś będzie spał jak kamień. Szedł daleko, wino moje zaś jest mocne! Przysięgam panu, że ten młody człowiek nie stanie wam się niebezpiecznym! Chciałbym się założyć, że on uciekł z domu — może miał długi! — Pochodzi też z bogatej rodziny, jego zegarek i łańcuszek wart dużo — oj, dużo, dałbym mu zaraz ze sto rubli.

— Wierzę, stary łotrze, — szepnął robotnik, — ale powinieneś być trochę ostróżniejszym z policyą! Niedawno wróciłeś z Sybiru.....

— Nie wymawiaj pan tego brzydkiego słowa! — krzyknął żyd. — Nie chcę go słyszeć! Ale z policyą jestem teraz w wielkiej zgodzie! Powierzono mi zaszczytny urząd....

— Szpiegowanie, nieprawda?

— Tak! Ja też przyrzekłem wszystko, ale ani mi się śni zdradzać moich przyjaciół. Czasem wydam w ręce policyi jakiego biedaka, który ukradł buty, na tem jednak kończy się wszystko. Przyjaciół moich nie zdradzę, chociażby mi kto położył na stół tysiąc rubli.

— A za dwa tysiące? — roześmiał się robotnik.

-- Nie żartuj sobie, Luigi! Chcesz widzieć zdrajcę, to spojrzyj w zwierciadło! My wszyscy wiemy, że w Paryżu służyłeś policyi, i to w jaki jeszcze sposób!

— Milcz, przeklęty żydzie! — krzyknął Luigi Luccheni gwałtownie i podniósł rękę, aby żyda uderzyć.

Ale towarzysz jego powstrzymał go.

-- Że też ty nie umiesz panować nad sobą, — rzekł rozgniewany. — Twoja gwałtowność zgubi nas! Gregorowicz odpowiedział ci obelgą na twoją obelgę, więcej nic. Zgódźcie się teraz, inaczej nigdy nie dojdziemy do celu.

Luigi i żyd usiedli znowu przy stole, i przekonawszy się, że Feliks najmniejszej na nich nie zwraca uwagi, rozpoczęli żywą i cichą rozmowę.

— Więc dziś w nocy?

— Tak!

— W sklepie mego domu?

— Tak! Czy wszystkie środki ostrożności przygotowane?

— Naturalnie! Przyjdą wszyscy?

— Zapewne. Zjechali się z najrozmaitszych stron świata!

— O której godzinie?

— O północy!

W tejże chwili wniosła służąca kolacyą dla Feliksa i żyd pobiegł, aby nakryć stół i podać mu wina.

— Życzę panu dobrego apetytu, — rzekł uniżenie. — A potem pozwoli się pan zaprowadzić do sypialnego pokoju!

— Dobrze, położę się wcześnie, bo jutro rano idę dalej.

— Do Petersburga?

— Tak, a potem jeszcze dalej.

— Aż za granicę Rosyi? — zapytał żyd chytrze.

— Do Wiednia, — odrzekł Feliks otwarcie.

— Ale z Petersburga pojedzie pan baron koleją?

— Nie, postanowiłem całą drogę odbyć pieszo!

— A to odwaga!

Teraz wstał starszy mężczyzna od sąsiedniego stołu i zbliżył się do Feliksa.

— To co słyszę, interesuje mnie bardzo, — rzekł uprzejmie. — Chcesz pan doprawdy iść pieszo do Wiednia? Chodzi tu pewnie o jaki zakład!

— Nie, prędzej o kaprys, — odpowiedział Feliks. — Koleją jeżdżą wszyscy, ja więc chcę iść pieszo!

Przy tych słowach podniósł kieliszek wina i wypił resztę, a pierścionek Elżbiety błysnął tysiącem promieni w świetle lampy.

Siwowłosy mężczyzna spojrzał i zadrżał.

-- Masz pan tam bardzo piękny pierścionek, — rzekł na pozór obojętnie. — Jestem znawcą klejnotów, ale muszę przyznać, że takiego szmaragdu nigdy jeszcze nie widziałem!

— Może być! Jest to pamiątka po drogiej mi osobie, — szepnął Feliks, patrząc z głęboką czcią na pierścionek.

— Pozwól mi go pan dokładniej obejrzeć, — prosił nieznajomy, — chciałbym się przekonać, czy to szmaragd indyjski czy perski!

Feliks niechętnie ściągnął pierścionek z palca, ale nie mógł odmówić uprzejmej tej prośbie.

Wytworny mężczyzna wziął go, obejrzał dokładnie i zbladł śmiertelnie.

Wewnątrz były wyryte słowa:

— Najdroższej Felicyi — Ramiro.

— Od kogo pan masz ten pierścionek? — zapytał drżącym głosem. — Mój brat miał zupełnie taki sam — otóż patrz pan....

I wskazał na mały palec lewej ręki, na którym rzeczywiście znajdował się zupełnie podobny pierścionek.

— Jest to dziwny przypadek, — [illegible] pierścieni takich znajduje się pewnie dużo jeszcze na świecie! Ale musimy poznać nasze nazwiska. Ja jestem hrabia Barin. A pan — jak się zowiesz?

Feliks zarumienił się.

Czy mógł wymienić swoje nazwisko? Czy na dźwięk jego nie odwróci się każdy z pogardą?

— Feliks! — odrzekł krótko.

— A więc — panie Feliksie, wypijmy najpierw razem kieliszek wina!

Na dany znak przyniósł Gregrowicz butelkę starego węgrzyna i nalał kieliszki.

— Na zdrowie tej, która panu dała ten pierścionek, — zawołał Barin z uśmiechem.

Feliks wypił natychmiast wino do ostatniej kropli. Wszakże to było na zdrowie Elżbiety!

— A teraz powiedz mi pan, kto ci go dał? — rzekł znowu Barin.

— Był on własnością mej matki!

Na te słowa oparł się hrabia o poręcz krzesła i zamknął oczy. Całe ciało jego drżało, jak we febrze.

— Matka pana! — szepnął. — Od kogo — dostała — go?

— Od — mego ojca!

— Więc matka pana nie żyje?

— Nie, umarła, gdy ja się urodziłem. Przyjaciółka jej wzięła go na pamiątkę i dała swej córce a ta znowu podarowała go mnie!

I Feliks zarumienił się mocno.



Pałac w dobrach barona Kronau. (Patrz nr. 26, strona 787.)

— Rozumiem, — zawołał Barin. — Tym sposobem jest klejnot ten podwójnie panu drogim! Ale bardzo tu gorąco — duszno — muszę wyjść na chwilę na świeże powietrze......

I wybiegł jak szalony z pokoju.

Luigi Luccheni, który słyszał całą tę rozmowę, wyszedł za nim.

— Pedro de Branco! — zawołał, — poczekaj pan....

— Zakazałem ci, już raz używać tego nazwiska, — — krzyknął Barin.

— Tu nas nikt nie słyszy!

— Ale ja sobie tego nie życzę! Po co wogóle przyszedłeś za mną? Nie wołałem cię! Chcę być sam!

— Dlaczego przyszedłem? bo uważałem, że ten młody człowiek bardzo cię zajął. Pytania, które mu stawiałeś były najlepszym tego dowodem..... Wiesz zaś, że w naszem stowarzyszeniu nie wolno mieć tajemnic. Myślę zresztą że ten młodzieniec ma dużo pieniędzy sobie — jeżeli nie, to ów pierścionek i zegarek z łańcuszkiem też już wystarczą

Nie mam ani grosza — warto by go dziś w nocy obrać trochę.....

— Nie waż mi się tknąć go, — szepnął Barin z dziko błyszczącemi oczami. — Uduszę cię własnemi rękami, jeżeli nie będziesz mi posłusznym!

— Dziwnie się stałeś cnotliwym, — roześmiał się Luigi, — ale tym razem byłem ja mędrszym. Mówiłem umyślnie o zabraniu kosztowności owemu Feliksowi, a ty uwierzyłeś mi i uniosłeś się takim zaraz gniewem! Nowy dowód, że on ci jest bardzo drogim....

— Tak jest! I ponieważ nie wolno nikomu w naszym związku mieć tajemnic, przeto powiem ci prawdę: ów młodzieniec jest — moim — synem!

— A do czarta! To bardzo zajmująca nowina!

— Śmiej się! Jesteś zwierzęciem w ludzkiej postaci i nie masz serca, — syknął Pedro przez zaciśnięte zęby.

— Nie wiem tylko, kto dotychczas więcej ludzi zgładził ze świata, ja, bez serca, czy ty — z sercem! — odpowiedział Luigi szyderczo.

— Może być, że ja, — odrzekł Barin spokojnie. — Życie człowieka żadnej dla mnie nie ma wartości. Ale miłość dla własnego dziecka — to inna rzecz! Feliks do mnie jest podobny! Będąc w jego wieku wyglądałem tak samo! Tak! Gdybym nie był wszedł na pochyłą drogę zbrodni, byłbym dziś może jakim wielkim człowiekiem i mógłbym powiedzieć memu synowi: — Kochaj mnie, jestem twoim ojcem!

— Czemu tego nie powiedziałeś? Przecież on nie wie, kto i czem jest albo był jego ojciec?

Pedro zamyślił się na chwilę, potem rozśmiał się gorżko.

— Ah, głupstwo, — rzekł, — nie można tracić czasu na czułości! Kto ma tyle powodów do ukrywania swej osoby, jak ja, ten nie może odgrywać roli kochającego ojca! Chciałbym tylko wiedzieć, kto go wychował.

— Może dowiemy się o tem z papierów, które bezwątpienia ma w pugilaresie, — szepnął Luigi. — Pragnąłbym niezmiernie odwiedzić go dziś w nocy!

— Dobrze, ale nie wolno ci nic ruszać, ani pieniędzy, ani klejnotów, rozumiesz?

— Rozumiem!

Potem wrócili obydwaj do sali.

Feliks wychodził właśnie z Gregorowiczem do swego pokoju. Ujrzawszy Pedra, zbliżył się do niego i podając mu rękę, rzekł uprzejmie:

— Nie zobaczę pana jutro, bo zamierzam wyjść bardzo wcześnie. Pożegnam więc pana teraz już!

— Niech Bóg pana błogosławi i niech ci ten pierścionek szczęście przyniesie, — odpowiedział Pedro wzruszony.

Przez chwilę zdawało się, że chce młodzieńca przyciągnąć do siebie — ale zaraz potem puścił jego rękę, i nie mówiąc już ani słowa, oddalił się szybko.

## ROZDZIAŁ CXXX.

## Ojciec i syn.

Gdy Feliks stanął w swoim pokoju, rzekł do Gregorowicza:

— Nie zapomnijcie mnie obudzić jutro o czwartej rano! Ale cóż to? Przy drzwiach nie ma ani zamka, ani rygla, jakże więc zamknąć je na noc?

— Tego wcale nie potrzeba! Jesteś pan w porządnym domu!

Feliksowi nie bardzo się to podobało, lecz zmienić nie nie mógł.

Po wyjściu żyda wyjął rewolwer, położył go przy łóżku, potem, zmęczony drogą i winem, rzucił się na posłanie i w mgnieniu oka usnął snem twardym i głębokim.

Po upływie mniej więcej godziny otworzyły się cicho drzwi, i Pedro i Luigi weszli do pokoju.

Luigi zabrał się natychmiast do szukania kuferka.

— Znalazłem — szepnął, — pójdźmy!

W przyległym pokoiku, do którego się teraz udali, zapalili świecę, i jednym z licznych kluczy, które Luigi wyjął z kieszeni, otworzyli kuferek.

— Nie opłaciło się, — rzekł Luigi. — Trochę bielizny, ubranie — nic dla nas!

Ale Pedro trzymał w rękach książkę, z napisem Trionigo i — płakał.

— Mój syn! — szeptał, — mój syn! Teraz nie ulega już żadnej wątpliwości, że to on! Syn Felicyi i mój!

Luigi podał mu teraz dwie fotografie.

— Ładne kobiety, — rzekł z brutalnym uśmiechem — Syn twój dobry ma gust!

— Milcz!

Pedro wziął fotografie.

— Ah, Józefina! — pomyślał, — a to pewnie jej córka, ta, która mu dała pierścionek! Więc to Józefina i Maksymilian Kronau wychowali mego syna. On! mój najgorszy nieprzyjaciel! O, jakże go oni musieli nauczyć pogardzać ojcem! A przecież gdybym użył przemocy, musiałby Feliks iść ze mną! Ale ja tego nie chcę! Spróbuję pozyskać go w inny sposób! Ojciec i syn powinni być razem! Tak jest, zatrzymam go przy sobie!

Luigi tymczasem ułożył znowu rzeczy w kuferku, zamknął go i zapalił papierosa.

— Niech twój syn idzie gdzie chce, — rzekł. — Nie przyznawaj się lepiej wcale do niego! Wychowano go na uczciwego człowieka, a chociaż mówią, że jabłko niedaleko pada od jabłoni, to wychowanie jednak dużo znaczy! On jest cnotliwym młodzianem i może nam popsuć wszystkie szyki!



Pojedynek. (Patrz nr. 26, strona 788.)

— Mój syn zostanie przy mnie, — odparł Pedro stanowczo, — i zrobię z niego — anarchistę!

— To co innego! Młody, energiczny, może nam się na co przydać. Trzeba spróbować!

— Idź natychmiast na miejsce zebrania. Bracia Czerwonej ręki będą już może zgromadzeni. Powiedz im, że przyjdę zaraz i że przyprowadzę nowego towarzysza!

— Więc powiesz mu, że jesteś jego ojcem?

— Tak, i pozyskam w nim dzielnego sprzymierzeńca.

— Rób co chcesz, pamiętaj tylko zawsze o naszem bezpieczeństwie!

— Nie obawiaj się niczego!

Luigi wyszedł — Pedro zaś wziął kuferek i odniósł go na dawniejsze miejsce.

Potem schylił się, i dotknął ręki śpiącego.

Feliks natychmiast otworzył oczy i schwycił za rewolwer.

— Wstań, — rzekł Pedro, — ubierz się i pójdź ze mną.

— Ah, to pan, — zawołał młodzieniec zdumiony. — Czemu pan wszedłeś do mego pokoju? Czego chcesz?

— Dowiesz się wszystkiego. Wstań!

— Jakiem prawem mówisz mi pan ty? — zapytał Feliks, rozgniewany jego rozkazującym tonem.

— Ja mam prawo do tego! Ubierz się prędko!

(Ciąg dalszy nastąpi).



# POD PRUSKIM ZABOREM.

*Napisał RENE BAZIN.*

16) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

— Czy zgadzasz się zatem towarzyszyć naszej córce? Namyślała się chwilę, przymknęła oczy i wyrzekła:

— Bezwątpienia.

Zdziwienie odmalowało się na twarzach męża, Jana i Lucyny.

— Ucieszyłoby to mnie niezmiernie, bo mój projekt w połowie tylko trafiał mi do przekonania. Będzie o wiele lepiej, jeżeli ty się podejmiesz opieki nad naszą córką. A jakie miejsce masz zamiar wybrać dla widzenia się narzeczonych?

Pani Monika odpowiedziała:

— Mój dom w Obernai.

Ojciec i syn podnieśli głowy w osłupieniu. Dom w Obernai? Dom Biehlerów?

Syn odczuł poświęcenie matki, podniósł się i pocałował ją w czoło.

Nawet pan Oberle wyrzekł uprzejmie:

— To dobrze, Moniko, to bardzo dobrze. A jaka pora będzie dla ciebie najodpowiedniejsza?

— Skoro tylko się zdąży zawiadomić pana Farnowa. Naznacz sam dzień i godzinę. Odpisz natychmiast, jak tylko odbierzesz odpowiedź.

Chociaż Lucyna zazwyczaj niezbyt czuła była dla swej matki, tego wieczora zbliżyła się do niej z wyjątkową serdecznością. W małym saloniku przez dwie godziny siedziała przy matce, zajęta szydełkową robotą i śledziła swemi badawczemi oczami myśl, wyrytą na tej twarzy pomarszczonej, zapadłej, a tak jeszcze ruchliwej i pełnej wyrazu.

Odgadujemy jednak najczęściej zaledwie połowę cudzej duszy. Ani Lucyna, ani Jan nie domyślili się przyczyny, która tak nagle skłoniła panią Oberle do tego poświęcenia.

## ROZDZIAŁ XIII.

### *Wały Obernai.*

W dziesięć dni później Lucyna z matką wchodziły do rodzinnego domu Biehlerów, gdzie pani Oberle przeżyła swoje lata dziecinne. Dom trzypiętrowy, z małemi, zielonemi szybami w oknach, murem szczytowym wystawał ponad stare szańce Obernai i znajdował się pomiędzy dwoma podobnemi domami, pochodzącemi tak samo z szesnastego wieku.

Pani Oberle weszła na górę, mówiąc stróżce:

— Wpuścicie natychmiast pana, który się o mnie zapyta.

Pokój, w którym się obecnie znalazły, był jednym z niewielu dotąd umeblowanych. Tu żyli i zmarli jej rodzice: łóżko orzechowe, piec ciemny fajansowy, krzesła pokryte pluszem w deseń kwiatowy, krucyfiks pod szkłem, dwa widoki Włoch, pamiątka z podróży w r. 1837 — wszystko to zachowało się tak, jak było ułożone i ustawione przed laty.

W progu pokoju pani Oberle zatrzymała się chwilę, a potem odruchowo podeszła do kropielnicy, która służyła jeszcze jej praojcom, ci bowiem wstępowali do mieszkania, jak do świątyni.

Obie kobiety zbliżyły się do okna. Pani Oberle miała na sobie tę samą czarną suknię, w której przyjmowała prefekta Strassburga; Lucyna, jak gdyby chcąc przysłonić złociste włosy, włożyła na głowę popielaty, słomiany kapelusz z szerokiem randem, przybrany piórami w tym samym odcieniu. Matka widziała jej piękność, ale patrzyła na nią w milczeniu. Z jakąż radością byłaby wyraziła córce swój zachwyt nad jej urodą, gdyby narzeczony był kimś innym, nie tym Prusakiem, którego oczekiwała dziś z takim niepokojem i gdyby widok rodzinnego domu i pamiątek po dzielnych Alzatczykach, dawniejszych jego mieszkańcach, nie powiększał ciężaru, gniotącego jej duszę.

Oparła się o szyby i spoglądała na ogród, pełen bukszpanów, strzyżonych w kule, na kwatery kwiatowe, objęte ramą z bukszpanu, na kręte i wązkie aleje, po których biegała za lat dziecinnych, gdzie rosła i marzyła. Po za ogrodem zaczynały się wały Obernai, zasadzone kasztanami i zamienione na miejsce spacerów, skąd odkrywał się rozległy widok na siniejącą równinę.

Lucyna od chwili przybycia do Obernai zachowywała głębokie milczenie, odgadując, że jednem nierozważnem słowem mogłaby łatwo dotknąć matkę, która i tak w duszy zadawała sobie pytanie, czy będzie miała dosyć siły do spełnienia tej strasznej ofiary; teraz jednak dumna dziewczyna zbliżyła się do nieszczęśliwej kobiety i rzekła swym głosem, chwytającym za serce, gdy się go słyszało po raz pierwszy, ale który następnym razem przestawał robić wrażenie:

— Cierpisz bardzo, mateczko! Przy twoich przekonaniach, to, co dziś uczyniłaś, jest czynem prawie bohaterskim.

Matka nie podniosła oczu, tylko powieki jej drgnęły nerwowo.

— Poświęcenie swe uważasz jako obowiązek żony i dla tego cię podziwiam, sama bowiem nigdy nie byłabym zdolną do czegoś podobnego, nie mogłabym do tego stopnia wyrzec się swojej indywidualności.

Nie rozumiała nawet, że słowa jej były okrutne.

— I ty chcesz iść zamąż? — zapytała matka, podnosząc głowę z żywością.

— Ależ naturalnie. Dziś my inaczej pojmujemy małżeństwo.

— Matka poznała po uśmiechu córki, że musiałaby walczyć z ustalonem już przekonaniem. Uważając zaś, że chwila do dyskusyi nie była odpowiednią, zamilkła.

— Jestem ci, mamo, bardzo wdzięczną — zaczęła znów córka.

Po krótkiem wahaniu dodała:

— A jednak przypuszczam, mamo, że miałaś inny powód, prócz posłuszeństwa memu ojcu, zgadzając się przyjąć tu właśnie pana von Farnowa.

Powiodła oczami wokoło pokoju i znów zatrzymała je na bladej, zmęczonej twarzy swej matki, na jej włosach, rozdzielonych z przodu i zaczesanych gładko.

Pani Oberle odparła bez chwili wahania:

— Tak.

— Byłam tego pewną. Czy możesz mi powiedzieć przyczynę?

— Za chwilę.

— Wobec pana von Farnowa?

— Tak.

Pod wpływem doznanej przykrości twarz Lucyny przybrała wyraz szorstki.

— Chociaż nie rozumiemy się wcale, nie przypuszczam jednak, mamo, żebyś chciała odwrócić odemnie serce narzeczonego?

Łzy stanęły w oczach pani Oberle.

— Ach, Lucynko!

— Nie... ja tego nie myślę... Czy to rzecz wielkiej wagi?

— Tak.

— Dotyczy mnie?

— Nie, nie ciebie.

Młoda dziewczyna chciała pytać dalej, ale zadrżała, zbladła i zwróciła się do drzwi. Matka jej także się obejrzała w tym samym kierunku. Słychać było, że ktoś wstępuje na schody, a po chwili pani Oberle ujrzała przez wpół otwarte drzwi Wilhelma von Farnowa. Stróżka doprowadziła go do sieni i odeszła, a młody człowiek, wyprostowany sztywnie, jak gdyby się wybierał na paradę wojskową, wszedł szybkim krokiem do pokoju, uchylając głęboko najpierw przed matką, a później przed córką swą wyniosłą głowę.

Miał na sobie ubranie cywilne, bardzo eleganckie. Twarz jego pobladła ze wzruszenia. Przemówił do pani Oberle po francusku, z wielką powagą:

— Dziękuje pani!

Potem spojrzał na Lucynę bez uśmiechu wprawdzie, ale w niebieskich oczach zapaliła się iskra jakiejś dziwnej radości.

Twarz pięknej dziewczyny rozpogodziła się zupełnie.

Pani Oberle zadrżała z niezadowolenia, które jednak starała się ukryć. Spojrzała prosto w stalowe oczy Wilhelma von Farnowa, który stał przed nią nieruchomy, w postawie, jaką przybierał, stojąc pod bronią wobec głównego wodza.

— Nie zasługuję na pańskie podziękowanie. Niczem się nie przyczyniłam do tego, co się stało. Mąż mój i córka zdecydowali sami.

Ukłonił się powtórnie.

— Gdybym miała wolny wybór, odtrąciłabym pana bez wahania. Pańską narodowość, religię i armię, w której pan służysz, uważam za obce dla nas... Widzi pan, że mówię szczerze i otwarcie... Zależy mi nawet na tem, żeby pan wiedział, iż w niczem nie jest mi pan obowiązanym — ale też, że nie uczuwam do pana osobiście żadnej nieuzasadnionej niechęci. Zdaje mi się nawet, że pan jest dobrym żołnierzem i zasługuje na szacunek. Wierzę w to tak mocno, że chcę się panu zwierzyć z niepokoju, który mnie dręczy...

Zawahała się chwilę i ciągnęła dalej:

— Mieliśmy w Alsheimie okropną scenę podczas bytności hrabiego von Kessewitz...

— Pan von Kessewitz opowiadał mi o wszystkiem, pani. Nawet radził mi wyrzec się myśli zaślubienia jej córki. Ale ja nie abdykuję tak łatwo ze swych pragnień. Żeby mnie zmusić do wyrzeczenia się panny Lucyny potrzebny byłby...

— ....Potrzebny byłby rozkaz zupełnie inny. Jestem dobrym Niemcem, pani sama to przyznała. A Niemiec nie wyrzeka się tak łatwo swych zdobyczy. Pan von Kessewitz zaś jest tylko moim wujem.

— Ale pan nie wie o tem, że ojciec mego męża w rozdrażnieniu gwałtownem z nadmiaru boleści przemówił po raz pierwszy po wielu latach milczenia. Zawołał do Jana: „Odejdź stąd! Odejdź!“ Usłyszałam te słowa i przybiegłam natychmiast. Ujrzałam Filipa Oberle leżącego bez zmysłów na dywanie salonu, ale więcej jeszcze przeraził mnie wyraz twarzy syna i to przekonanie, że on w tej chwili był zdecydowany usłuchać dziadka i opuścić Alzacyę.

— Ach! — zawołał Farnow — to byłoby okropne!

I rzucił okiem na piękną Lucynę, która jednak przeczo potrząsnęła swą jasną główką.

— Tak — ciągnęła dalej pani Oberle, nie rozumiejąc zupełnie, co miał na myśli Farnow. — To byłoby okropne! Co za rozpaczliwa moja starość w domu rozdwojonym duchowo po rozłące z córką, którą pan zabiera i po stracie syna, który gotów opuścić Alzacyę!... Może pan się dziwi, że odkrywam mu tę straszną obawę?..

Farnow zrobił jakiś gest dwuznaczny.

— Ale — mówiła pani Oberle z większą żywością — nie mam do kogo się zwrócić o pomoc i radę w tak trudnych warunkach. Czy pan mnie rozumie? Nie mogę nic powiedzieć mężowi, bo może unieść się gniewem, poruszyć wszystkie swoje wpływy i w przeciągu tygodnia postarać się o wcielenie Jana do jakiegoś pułku, stojącego na wschodzie lub północy cesarstwa... Mój brat? Ależ on gotów jeszcze popychać Jana do opuszczenia Alzacyi.... Widzi pan zatem, że tylko pan jeden mógłby mi pomódz nieco.

— Ależ w jaki sposób, łaskawa pani?

O, są różne sposoby... Jan mi dał słowo, że wstąpi do pułku. Pan może się postarać, żeby mu oszczędzono przyjęcia, któreby go zraziło ostatecznie. Może mu pan zapewnić protekcyę, stosunki, towarzystwa, przemówić do niego... Pan go przecież zna oddawna. Niech mu pan nie pozwoli zagłębiać, zatapiać się w czarnych myślach i niech mu pan przeszkodzi spełnić ten rozpaczliwy zamiar, jeżeli pokusa ogarnie go znów.

Porucznik był bardzo zmieszany, przy ostatnich słowach pani Oberle zmarszczył brwi, a twarz mu drgnęła kurczowo.

— Pani — wyrzekł po chwili — do pierwszego października ma pani obietnicę syna, a po pierwszym ja się nim zajmę.

Potem, owładnięty myślą, której nie chciał otwarcie wypowiedzieć, rzekł półgłosem do siebie:

— Ach, to byłoby fatalne... to nie powinno nastąpić.

Lucyna go usłyszała.

— Tem gorzej dla niego! — zawołała. — Zdradzam tajemnicę brata, ale on mi wybaczy, skoro się dowie, że szło mi o uspokojenie mamy. Jan nie opuści Alzacyi, może mama być zupełnie spokojną.

— Dlaczego?

— Bo on też kocha!

— Gdzie?

— W Alsheimie.

— Kogo?

— Otylię Bastian.

Pani Oberle zapytała ze zdumieniem:

— I to prawda?

— Jak prawdą jest, że stoimy tutaj. Opowiedział mi wszystko.

Matka przymknęła oczy i mówiła zadyszana:

— — O, dzięki Bogu! Więc i dla mnie budzi się nadzieja... Zostawcie mnie samą... pozwólcie mi się wypłakać...

I ręką im wskazała otwarty pokój po drugiej stronie sieni.

Farnow pochylił przed Lucyną swą wyniosłą postać na znak, że gotów jest iść za nią. A ona spokojnie przeszła do komnaty, oświetlonej dużem oknem, z widokiem na ogród, do komnaty swych przodków, którzy tak gorąco umieli kochać Alzacyę.

Pani Oberle odwróciła głowę. Siedząc przy oknie, oparła twarz o szyby, przez które patrzyła za lat dziecinnych na słońce, na deszcz, ogród, rozmaite desenie, porysowane przez mróz, na letnie wieczory i na całą ukochaną Alzacyę.

— Otylia Bastian! Otylia! — powtórzyła drżącemi ustami.

W oczach jej stanęła pogodna twarzyczka młodej dziewczyny, jej uśmiech spokojny, jasne suknie i ten zakątek Alsheimu, w którym upływało jej życie. Wszystko razem zlewało się w umyśle biednej matki w jakiś poemat piękna, zdrowia moralnego, do którego przywiązała się myślą z rozpaczą i zazdrością, ażeby przy nim zapomnieć o tej innej fatalnej miłości, dla której tu przybyła.

— Czemuż Jan mi swej tajemnicy nie chciał powierzyć? — myślała. — Jego miłość wynagradza mi tę drugą. Przynosi mi spokój... Mój Jan ukochany nas nie porzuci, ponieważ najsilniejszy z węzłów wiąże go z krajem... Może nam się uda ostatecznie zwyciężyć opór mego męża... Przedstawię mu całą wielkość ofiary, którą czynimy oboje z Janem, przyjmując tego Niemca.

W sąsiednim pokoju, zupełnie nie umeblowanym, stały tylko dwa krzesła, na których siedzieli obok siebie Farnow i Lucyna. Lucyna oparła się łokciem o balustradę okna, a Farnow, nieco w głębi, patrzył na nią z zachwytem i mówił coś z niezwykłym u niego zapałem. Do pani Oberle dochodziły od czasu do czasu głośniejsze śmiechy, które raniły ją niewymownie. Pomimo to nie odwracała głowy, ale ciągle patrzyła na siniejące w dali pola alzackie, na których zdawała się widzieć pocieszający obraz, wywołany słowami Lucyny.

Wilhelm von Farnow korzystał z krótkiej chwili, kiedy mógł być sam na sam z narzeczoną, ażeby się dać poznać Lucynie i zdobyć jej względy. Ona go słuchała z okiem utkwionem w przestrzeń, ale z wielką uwagą; odpowiedzi swe podkreślała za pomocą ujmującego uśmiechu i czarujących minek.

Prusak mówił: „Pani jesteś tak zaszczytną zdobyczą. Będziesz królową wśród oficerów mego pułku... Między ich żonami jest już jedna Francuzka, ale urodzona w Austryi i brzydka... Jest także Włoszka, zresztą same Niemki i Angielki. W tobie, pani, złączone są wszystkie dary nieba, rozrzucone pomiędzy innemi. Ty łączysz piękność z rozumem, blask, kulturę niemiecką z żywością i bystrością francuzką... Skoro się tylko pobierzemy, przedstawię cię zaraz w świecie berlińskim... I jak mogłaś, pani, wychować się w Alsheimie?“...

Lucyna, z natury więcej dumna, niż czuła, upajała się temi pochlebstwami.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

O tej samej godzinie wuj Ulrych, korzystając z wycieczki pana Józefa Oberle do Barru, przybył odwiedzić siostrzeńca.

(Ciąg dalszy nastąpi).